

I 870.275

WENUS W FUTRZE



Motto: „BÓG UKARAŁ GO
I ODDAŁ W RĘCE KOBIECY“.
Księga Judyty. 16. VII.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

SACHER-MASOCH

WENUS W FUTRZE

POWIEŚĆ

5477

WYDANIE DRUGIE, POPRAWIONE.



LWÓW

WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”

SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.



I 840.275



Byliśmy w miluchnym, zacisznym pokoju sam na sam. Na staroświeckim, okazałym renesansowym kominku płonął ogień. Siedziałem tuż obok, mając przed sobą ją — Wenus! I nie była to żadna dama z półświatka, któraby pod tem nazwiskiem prowadziła kampanię z nienawistnym rodem męskim, ani nawet kusząca Kleopatry, lecz prawdziwa bogini miłości.

Zagłębiła się w fotel, patrząc nieruchomo w płomień, który rumieńcem na białych jej licach się odbijał. Od czasu do czasu poruszała jedną lub drugą stopą, by ją przysunąć bliżej ognia.

Twarz jej była skończonem pięknem, mimo zamglonych jakąś dziwną melancholią oczu. Patrzyłem więc w tę twarz, jak w słońce, rozkoszując się harmonią klasycznych linii, żalowałem jednak, że nie było mi wolno ujrzeć jej szyi i ramion, jakby wykutych z marmuru ręką największego z mistrzów świata. Uroczą bogini bowiem otuliła się całą w bogate futro, kurcząc się w niem i drżąc, jak ktoś odczuwający dreszcze.

— Nie pojmuję, łaskawa pani — ozwał się po długiej chwili milczenia, — jak można... Przecie od dwu tygodni mamy wspaniałą wiosnę i zimna wcale niema. Chyba, że pani jest w najwyższem stadyum nerwowości...

— Dziękuję za taką wiosnę — odrzekła głębokim, suchym głosem, kichając dwukrotnie raz po raz; — istotnie nie mogę tu już dłużej wytrzymać i zdaje mi się, że...

— Co pani chciała powiedzieć?

— Że zaczynam wierzyć w to, co nie jest do uwierzenia, i że pojmuję rzeczy, jakie uchodzą za niepojęte. Zagłębiłam się w filozofię niemiecką, badałam obyczaje germańskie, na mocy których germanki celują w cnocie wierności i... wcale się teraz nie dziwię, że wy tu na pół-

nocy, nie umiecie kochać, ba, nawet nie macie najmniejszego pojęcia, czem jest miłość.

— Łaskawa pani pozwoli — przerwałem jej — zdaje mi się, że jaby najmniej nie dałem pani powodu, do takich wniosków.

— No, co do pana — odpowiedziała, kichając po raz trzeci i wzruszając ramionami z niedającym się opisać wdziękiem — byłem dla pana zawsze uprzejmą, od czasu do czasu nawet pana odwiedzam, nie zważając na przeziębienie, do którego, mimo moich futer, jestem bardzo skłonna. Czy pan sobie przypomina pierwsze nasze spotkanie?

— Miałebym o tem zapomnieć? Miała pani wówczas bujną fryzurę, przypominającą heban, czarne jak węgiel oczy, świeże, płonące purpurą usta. Poznałem panią jednak po bladej, marmurowej, a tak cudnie pięknej twarzy... Była pani ubrana w aksamitny żakiet koloru fiołków, oblamowany gronostajem.

— Tak, tak, byłeś pan zakochany w tej toalecie. A jaki pan był pojętny wówczas...

— Pani nauczyłaś mnie kochać, odsłoniłaś przedemną nieznaną świat miłości, w którym przeżyłem pełne dwa tysiące lat.

— A jak bezprzykładnie byłem panu wierną...

— No, co do tego, to...

— Niewdzięcznik!

— Nie mam bynajmniej zamiaru czynienia pani wyrzutów. Pani jest boginią piękności, ale równocześnie także kobietą, która w miłości jest tak samo groźna, jak każda inna.

— Nazywa pan groźnem to — odparła żywo, — co jest elementem zmysłowości, gorącego umiłowania, krótko mówiąc, naturą kobiety oddającej się temu wszystkiemu, co kocha, a kocha to, co jej się podoba?...

— Ba, ale czyż może być straszniejsza rzecz nad niewierność jednej lub drugiej zakochanych w sobie osób?

— Ee — przerwała, — my, kobiety, jesteśmy wierne tak długo, jak długo kochamy. Wy jednak wymagacie od kobiety, aby była wierną nawet wówczas, gdy nie kocha, i aby wam się oddawała bez własnego zadowolenia. Któż więc jest tutaj więcej srogiej: mężczyzna, czy kobieta? Wy, ludzie północy, bierzecie miłość zbyt poważnie i szafujecie

argumentami tak zwanego obowiązku tam właśnie, gdzie może tylko być mowa o zaspokojeniu.

— Tak, pani, ale za to doznajemy błogich uczuć cnoty i długotrwałego stosunku.

— A jednak — przerwała mi — nie jest to niczem innym, jak tylko obudzoną tęsknotą do pierwotnego stanu ludzkości z ery posterstwa i konownictwa. Ale ta miłość pierwotna, będąca najwyższą rozkoszą na ziemi, nie nadaje się dla ludzi nowożytnych, dla was, dzieci refleksyi. Jest ona dla was niedostępna. Z chwilą, gdybyście chcieli być naturalnymi, będziecie tylko pospolicimi. Naturę uważacie za coś niegodnego. Z nas, słonecznych bóstw Grecyi, uczyniliście demonów, ze mnie — dyablicę. Wy możecie mnie skazać na wygnanie, przekląć, albo siebie samych w przystępie obłędu, jak w bakchanalie, zabijać przed mym ołtarzem na ofiarę, a jeżeli kto ma odwagę dotknąć moich płomiennych ust, odbywa potem pielgrzymkę do Rzymu boso w worze pokutnym i oczekuje, ażali z zeszcłego kija kwiaty wonne wytrysną, podczas gdy u moich stóp każdej chwili zakwitają róże, fiołki i mirty. Nie dla nas jednak ich woń! Wy błędzicie dalej we mgle północy. Nas, pogan zostawcie w spokoju pod gruzami i lawą, nie wygrzebujcie nas! Bo dla nas zbudowano Pompei, ale nie zbudowano dla was naszych will, łązienek i templów. Wam niepotrzebne są bogi. My w waszym świecie lodowaciejemy!...

Marmurowa piękność zakaszlała się i naciągnęła na ramiona bobrowe futro.

— Dziękujemy za lekcye klasycyzmu — ozwałem się po chwili, — ale pani nie może zaprzeczyć, że mężczyzna i kobieta zarówno w waszym pogodnym, słonecznym kraju, jak i w naszej ponurej ustroni, są dla siebie wrogami, że miłość jednoczy tylko dwoje ludzi w jedną istotę na czas bardzo krótki, w którym możliwa jest jedna wspólna myśl, jedno uczucie, jedna wola. A potem następuje tem większa między niemi przepaść, no i... pani to zresztą wie lepiej sama... jeżeli jedno nie ma zamiaru wprządz się w jarzmo drugiego, poczuje wnet pęta na swoim grzbiecie...

— A mianowicie odczuje zazwyczaj stopę na swoim grzbiecie mężczyzna — przerwała mi Wenus szyderczo, — o czem znowu pan wie lepiej, niż ja...

— Tak jest, i dlatego właśnie nie poddaję się żadnym złudzeniom.

— To znaczy, że pan jesteś obecnie moim niewolnikiem, który się wcale nie łudzi, no, a ja przygniotę pana za to bez żadnej litości.

— Pani?

— Pan mnie jeszcze nie zna!... Jestem groźną, jak mnie pan z pewnem zadowoleniem nazywa, i mam prawo być taką. Mężczyzna jest pożądaną, kobieta pożądana, nie więcej, ale część jej w tem jest rozstrzygająca. Natura dała jej mężczyznę w nagrodę za namiętność. Kobieta więc byłaby bardzo niemądra, gdyby nie uczyniła sobie z niego poddanego niewolnika, ba, nawet zabawki, aby go wreszcie zdradzić i śmiać z jego niedołęstwa.

— Zasady pani... — rzuciłem, rozbrojony zupełnie.

— Oparte na tysiąc-letnich doświadczeniach — podchwyciła ironicznie, zagłębiając białe palce w futro; — im więcej kobieta jest oddaną i uległą, tem prędzej opanuje ją mężczyzna i zniszczy zupełnie; jednakże im groźniejszą i niewierniejszą jest ona, im gorzej z nim się obchodzi, im bezczelniej nim igra, im mniej okazuje mu litości, o tyle więcej wzbudzi w mężczyźnie lubieźności, tem silniej będzie przez niego kochana i uwielbiana. Tak było zawsze, od Heleny i Dalili do Loli Montez.

— Bez zaprzeczenia — wtrąciłem, — nic tak mężczyzny nie zdoła porwać i odurzyć, jak postać pięknej, i despotycznej kobiety, która w sposób bezwzględny zmienia kochanków, jak rękawiczki...

— No i do tego, jeżeli ubiera się w futra — dodała bogini.

— Futra? — zapytałem zdziwiony.

— Znana mi jest poprzednia miłość pańska.

— Wie pani — zauważyłem, — że od czasu naszego ostatniego widzenia się stała się pani nielada kokiетką.

— O, aż tak! Z czegoż to pan wnioskuje?

— Pani wie dobrze, że to futrzane okrycie stanowi najwspanialszą ozdobę jej posagowej piękności.

Bogini parsknęła śmiechem.

— Pan śpi... niech się pan zbudzi — ozwała się po chwili, ujmując mnie pod ramię. — Wstawaj pan! — powtórzyła tonem nieodwołalnego rozkazu.

Otwarłem oczy z wysiłkiem i ujrzałem rękę, która mną potrzasała. Nie była to jednak delikatna, jak z marmuru wykuta dłoń bogini, lecz gruba, brązowa... jakby łapa niedźwiedzia. Poznałem. Budził mnie mój stary, wiesznie podchmielony kozak, stojąc tuż nademną.

— Niechże pan wstaje! — powtórzył kozak raz jeszcze, — to zgroza!

— Co znowu? jaka zgroza?

— Zgroza, spać w ubraniu, i do tego nad książką. Podniósł książkę z ziemi, otarł ją i położył na stole, dodając:

— I to spać wówczas, gdy najwyższa pora jechać do pana Seweryna, który zaprosił nas na herbatę.

* * *

— Szczególny pan — rzekł Seweryn, gdym mu to wszystko opowiedział. Wywarło to na nim silne wrażenie. Oparł ręce na kolanach i pogroził się w głębokie zamyslenie.

Wiedziałem, że przez dłuższy czas nie poruszy się nawet, i tak było w istocie. Znałem go od trzech lat, żyjąc z nim w ścisłej przyjaźni, więc niedziwne dla mnie było jego zachowanie się. Był to półwaryat i za takiego uchodził w całej kołomyjskiej okolicy. Dla mnie jednak był on bardzo ciekawą osobistością i zarazem sympatyczną.

Pomimo młodego wieku — liczył bowiem niewiele ponad trzydziestkę — był zamożnym właścicielem dóbr i mimo to wyglądał bardzo marnie, a przytem odznaczał się pewną powagą i pedanterią, jakiej podlegają ludzie starsi i zmanierowani. Miał swój własny oryginalny sposób życia, napół filozoficzny, napół praktyczny — uregulowany ściśle podług zegarka na minutę. A równocześnie zastosowywał ściśle w praktyce termometr, barometr, aerometr, hydrometr i wszystkie mądrości Hipokratesa, Hufelanda, Platona, Kanta, Knigge'a i lorda Echesterfield'a. W nawale tych praktyk miewał często napady tak gwałtowne, że omal muru głową nie przebijał, wobec czego każdy chętnie ustępował mu z drogi.

Kiedy gospodarz mój zamilkł, w pokoju zapanowała cisza. Przerywał ją tylko łopot ognia na kominku i sy-

czenie olbrzymiego samowara. Kołysałem się w bujającym fotelu, przypatrując się urządzeniu komnaty tego dziwaka. Były tu szkielety zwierząt, wypchane ptaki, globusy, odlewki gipsowe, modele i inne osobliwe drobiazgi. Nagle spostrzegłem wśród tych rupieci, przytwierdzonych do ścian, obraz, który dziś jeszcze stoi mi przed oczyma w blasku ognia kominkowego i wzbudza we mnie nieokreślone wrażenie.

Był to obraz olejny wielkich rozmiarów, malowany dość barwnie podług szkoły belgijskiej, przedstawiający precudnie piękną nagą kobietę, okrytą jedynie futrem o obfitym ciemnym włosie. Z twarzy jej promieniowała słoneczna pogoda i wyraz jakiegoś rozkosznego zadowolenia. Wyciągnęła się w pół leżącej postaci na otomanie, na lewym łokciu się wsparła, w prawej ręce dzierżąc szpicrutę. Lewą stopę oparła niedbale na grzbiecie mężczyzny, który tarzał się przed nią jak niewolnik, ba, więcej może — jak pies wierny, chociaż najwidoczniej maltretowany. Człowiek ten, o szlachetnych, choć nieco ostrych rysach, wzrokiem, pełnym rozkosznego omdlenia, patrzył w twarz dręczącej go kobiety z uśmiechem, wyrażającym boleść i równocześnie jakieś dziwne zadowolenie. Był to... Seweryn. Wydawał się młodszym o jakie lat dziesięć i nie nosił wówczas brody.

— Wenus w futrze! — zawołałem, wskazując obraz. Widziałem ją w moim śnie... To ona!

— Widziałem ją i ja — odparł grobowym głosem Seweryn, — z tą tylko różnicą, że... na jawie, własnymi oczyma.

— Naprawdę?

— Och, to głupia historia.

— A więc teraz rozumiem. Widocznie widziałem przypadkowo u ciebie ten obraz i przyśnił mi się potem. Powiedz mi jednak, jaki zaszedł stosunek między tobą a tą dziwną postacią. Niewątpliwie odegrała ona w twojem życiu ważną rolę; czyż nie tak?

Seweryn, zamiast odpowiedzi, wskazał mi pendant, mówiąc:

— A teraz spojrz tam.

Drugi obraz, stanowiący pendant do tamtego, był doskonałą kopią znanej z galerii drezdeńskiej „Wenus przed zwierciadłem“ Tycyana.

— No? i cóż? — zapytałem.

Seweryn powstał i wskazał palcem futro, którym upiększył Tycyan swą boginię miłości.

— I tu również Wenus w futrze — rzekł, uśmiechając się smutnie, — i sędzę, że stary Wenecyanin nie uczynił tego z rozmysłu. Najprawdopodobniej malował on portret jakiejś Messaliny i z grzeczności dodał amorka, trzymającego lustro, aby w niem mogła oglądać przecudne swoje wdzięki z całej okazałości.

— Dzieło wielkiego mistrza nie jest niczem innym, jak tylko pochlebstwem, przeniesionem na płótno. Później dopiero jakiś specjalny znawca epoki rococo ochrzcił postać imieniem Wenus, a futro, którym mistrz okrył swój model dla zwykłej przyzwoitości, użyte zostało za symbol okrucieństwa, towarzyszącego kobiecej piękności. Zresztą mniejsza o to — dosyć, że obraz dziś wydaje się nam, jakby był bardzo pikantną satyrą na naszą miłość. Wenus, przeniesiona na północ, w lodowy chrześcijański świat, musi się okrywać starannie futrem, ażeby uniknąć... przeziębienia...

Ostatnie słowa wypowiedział pół żartobliwie, śmiejąc się dość nienaturalnie i zapalając świeże cygaro.

W tej chwili otworzyły się drzwi, w których ukazała się słuszna i piękna blondynka, o dużych modrych oczach, ubrana w czarną jedwabną suknię. Wniosła nam zimne przekąski i jaja do herbaty. Seweryn wziął jedno jajo i nadbił je łyżeczką.

— Ileż razy mam ci powtarzać, że nie znoszę jaj za twardych?! — krzyknął podniesionym głosem, tak, że kobieta zadrzała.

— Ależ, drogi Sewerciu — szepnęła trwożnie.

— Co to znaczy... Sewerciu? — odparł tym samym tonem, chwytając harap z kołka; — powinnaś słuchać, słuuuuchać! rozumiesz?

Piękna kobieta skoczyła, jak spłoszona sarna, i znikła za drzwiami.

— Poczekaj, złapię ja cię jeszcze — wołał za nią, grożąc harapem.

— Sewerynie, dajże pokój! — wtrąciłem się, kładąc mu rękę na ramieniu; — jak można obchodzić się w ten sposób z tak piękną kobietą!

— Ho, ho! przypatrzo ty się jej lepiej, mój kochany — odparł nieco spokojniej, mrugając znacząco jednym okiem; — niech nobym ja zaczął ją pieścić, wnetby mi zarzuciła na szyję arkan; a tak... ubóstwia mię wręcz, ponieważ wychowuję ją sobie z harapem w rękę...

— Ee, idź sobie...

— Idź sobie ty... Kobiety należy tresować tylko w ten sposób, nie inaczej!

— Zresztą... żyj sobie, jak pasza w swoim haremie, co mnie to obchodzi, tylko nie zaprzataj mi głowy swemi teoriami.

— Dlaczego nie? — przerwał mi żywo. — Musisz być albo młotem, albo kowadłem, powiedział Goethe, mając może na myśli nie co innego, jak tylko stosunek między mężczyzną i kobietą, co dała ci również do zrozumienia we śnie twoja Wenus. Na namiętności mężczyzny opiera się moc kobiety, której ona nie omieszka wykorzystać, jeżeli tylko mężczyzna nie ma się na baczości. Musi on być albo jej tyranem, albo niewolnikiem... jedno z dwojga. Wybór do niego należy. Jeśli się jej podda, oho! wprzągnął się w jarzmo i niebawem poczuje chłostę.

— Osobliwe maksymy...

— Nie maksymy, lecz doświadczenia — odparł, chwiejąc głową; — czułem już baty na własnym grzbiecie. Chcesz wiedzieć, jak to było?

Dobył z biurka rękopis i położył na stole.

— Pytałeś mnie przedtem o znaczenie tego malowidła na ścianie, i winienem ci odpowiedzieć. Chcesz... czytaj!

Usiadł naprzeciw kominka, odwróciwszy się plecami ku mnie, i zamilkł. Zapanowała znowu taka cisza, jak przedtem, przerywana tylko świergotem świerszcza w starym murze i syczeniem samowara. Zabrałem się do czytania. Rękopis był zatytułowany „Zwierzenia głupiego fanatyka“. Poniżej znajdowały się, zamiast motto, dwa wiersze, wyjęte z Fausta:

„Du übersinnlicher sinnlicher Freier,
Ein Weib unsführet dich!“

Mephistopheles“.

Odwróciłem kartę i począłem czytać:

„Zwierzenia, zawarte w tej książce, są wypisane z dawnego mego dziennika w formie zmienionej o tyle, że usunąłem wszystko, co mi się wydawało mniej bezstronnem; dodałem też wiele myśli nowych, które w bojącem sercu zrodziły się, jako wspomnienie.

* * *

Gogol, ten rosyjski Molière, powiedział gdzieś: „Prawdziwie komiczną muzą jest ta, która pod maską uśmiechu i wesołości łązy roni“.

Wspaniałe zdanie! Stosuje się ono w zupełności do mnie w chwili, gdy piszę te słowa. Wydaje mi się, jakoby powietrze napełnione było wonią, która mnie odurza i powoduje zawrót głowy. Dym z kominka kłębi się i przybiera postacię złośliwych chochlików, wskazujących na mnie palcami, chichocąc się i drwiąc; pyzate amorki wskazują na poręcz mego krzesła, siadają mi na kolanach, i muszę się uśmiechać nienaturalnie, nawet śmiać się głośno — równocześnie opisywać swoje przygody, i to nie atramentem, lecz krwią własną, tryskającą z rozdartej serca i ran, odnowionych wspomnieniami... Ból mną wstrząsa ogromny i od czasu do czasu padnie na białą kartę — łza.

* * *

Ocieżale, leniwie wloką się dni w zacisznej miejscowości kąpielowej w Karpatach. Gości jeszcze niema. Pora znakomita do pisania sielanek. Miałem zamiar urządzić tu własną wystawę obrazów, zaopatrzyć teatr w nowości repertuarowe na cały sezon, urządzić szereg koncertów i pikników, — ale... nie zrobiłem jeszcze nic, prócz napięcia płócien, porozcinania arkuszy, gdyż jestem — ach, Sewerynie, bez żenady przed samym sobą... okłamuj drugich, bo siebie okłamać nie zdołasz nigdy — a zatem jestem niczem innym, jak tylko dyletantem zarówno w malarstwie jak w poezyi, muzyce i wszelkich innych sztukach pięknych, które swoim „majstrom“ zapewniają sławę i potęgę, a przedewszystkiem jestem dyletantem w życiu. Żyłem dotychczas tak samo, jak malowałem lub grałem, czyli, że nie wychodziłem nigdy poza ramy projektów.

Są ludzie, którzy zaczynają wszystko, a nie kończą niczego. Jednym z takich jestem ja.

Ale niema nad czem rozwodzić się wiele.

Siedzę u okna w swoim gniazdku i uważam je za bezgranicznie poetyczne. Tuż wznosi się stroma góra, zalana promieniami letniego słońca, z której spadają strugi potoków i szumią, tłocząc się po głazach i złomach. Zboczy i stoki pokryte runią świerkowych lasów i kwiatnych hal, na których rozpierzchły się trzody wełnistych owiec. W dali dźwigają się w jasny błękit ośnieżone szczyty Tatr.

Dom, w którym mieszkam, znajduje się w parku, a raczej w lesie, czy puszczy, nie wiem sam, jak określić. Niema tu nikogo, oprócz mnie, gospodyni pani Tartakowskiej ze Lwowa i jakiejś wdowy z Moskwy. Jest tu jeszcze stare psisko, kulejące na jedną nogę, i kot, który się ciągle bawi kłębkami nici. Zdaje mi się, że ten kłębek należy do pięknej wdowy. Jest ona istotnie piękna i dość młoda; liczyć może nie więcej nad dwadzieścia cztery lat — i podobno bardzo bogata. Mieszka na pierwszym piętrze, — ja w parterze; okna do jej pokojów są prawie zawsze zasłonięte storami, pomalowanymi na zielono, a balkon opleciony gęsto dzikiem winem. Ja zaś mam na dole altankę, osłoniętą szczelnie pnąciami się roślinami, i przepędzam tu znaczną część dnia na pisaniu i malowaniu. Mam stąd widok na ów balkon, gdzie rzucę wzrokiem czasem od niechcienia, i widzę po przez liście i sploty zieleni — białą kobiecą suknię.

Piękna kobieta jednak obchodzi mnie niewiele, gdyż zakochałem się w innej, i to bardziej nieszczęśliwie, niż rycerz Toggenburg i Chevalier w Manon l'Escaut, ponieważ ukochana moja... wykuta jest z kamienia.

W głębi parku znajduje się mała polanka, na której pasą się dwie oswojone sarny. Na środku polany wznosi się postać Wenus, wykuta z kamienia. Jest to prawdopodobnie kopia arcydzieła z Florencji. Otóż ta Wenus wy-daje mi się najpiękniejszą ze wszystkich kobiet, jakie w życiu widziałem. Prawdę powiedziawszy, niewiele kobiet pięknych widziałem dotychczas i jestem dyletantem nie-tylko w sztukach pięknych, ale i w miłości. Tu również kończy się na projektach i idealnych planach. Zresztą nie-ma o czem mówić wiele. Piękność jest niedoścignioną, zwłaszcza dla mnie, zakochanego po uszy, namiętnie, sza-

lenie w kamiennym posągu kobiecym, otrzymując za to zawsze spokojny uśmiech, zaklęty w zimny kamień.

Często w pogodne dni kładę się na kwietnym kobiercu pod młodym bukiem i czytam, a następnie odwiedzam swoją ukochaną, niemą i zimną — nawet w nocy, padam przed nią na kolana i, głowę o jej stopy oparłszy, modłę się do niej.

Gdy wszędzie księżyc, który właśnie dobiega pełni, i rozsije srebrną poświatę mroków, rozścieli potop błasków na uroczej, zacisznej polanie — zdaje mi się, że ta zaklęta królewna miłości drgnęła pełnią życia i z rozkoszą i lubością kąpie się w srebrnych strugach księżycowych promieni.

Gdy pewnego wieczora wracałem aleją od swojej bogini, spostrzegłem tuż w pobliżu wyniosłą postać w bieli, o posagowych konturach. Dech we mnie zamarł. Zdawało mi się, że to najukochańsza moja zstąpiła z piedestału i poszła mymi śladami, za mną, gotowa rzucić mi się w ramiona. Stałem, wyczuwając przyspieszone bicie własnego serca i drżąc z nieznaney trwogi, jak liść, no i...

Jestem dyletantem, najpospolitszym dyletantem w świecie... Oto... nie namyślając się wiele, uciekłem, co mi sił starczyło.

* * *

Co za zbieg okoliczności! Żyd, przekupień, zajmujący się sprzedażą fotografii i widoków, ma w ręku podobiznę mego ideału. Jest to zdjęcie fotograficzne „Wenus przed lustrem“ Tycyana. Postać wydaje mi się tak piękną, że poczułem w sobie natchnienie... Kupiłem karton i zapatrzyłem go w napis „Wenus w gronostajach“.

O Wenus! kostniejesz z zimna, mimo, że sama wołujesz w sercu człowieka płomienie. Osłoń się płaszczem despoty, bo ci najlepiej do twarzy, ty — groźna bogini miłości i piękna!

I nakreśliłem z pamięci urywek z „Fausta“:

„DO AMORA!

Ułuda jest tych skrzydeł para.

Strzały — to zwykłe orle szpony,

Wieniec zakrywa zradne różki. —

Amor, bez żadnej wątpliwości,
 Jak wszystkie bóstwa olimpijskie,
 Zakapturzonym jest szatanem.

Ustawiłem rycinę na stole, o brzeg książki ją oparłszy, i począłem się jej przypatrywać.

Wspaniała piękność posągowa bogini, udrapowanej w sobole, z jakąś ironiczną kokieterią, z niewysłowionym czarem, zaklętym w marmurowem obliczu, zachwyca mnie i równocześnie budzi grozę!

Chwytam pióro i piszę:

„Kochać i być kochanym... to szczyt rozkoszy i szczęścia na ziemi. Lecz jakże blednie to szczęście wobec pełnej udręczeń błogości, jakiej się doznaje, gdy ubóstwiana przez nas kobieta tyranica przygniata nas stopą, silnie i bez litości. Samson, ów olbrzymi bohater, dał się opanować ponownie Dalili, która go przedtem zdradziła, więc zdradziła go po raz drugi — i Filistyni ujęli go i wykluli na jej rozkaz oczy, zwrócone do ostatniej chwili na nią — tę piękną i ubóstwianą, a niewierną okrutnicę“.

*

*

*

Śniadanie spożyłem w altance i zabrałem si do czytania księgi Judyty, zazdroszcząc srogiemu Holofernesowi królewskiej niewiasty, która ścięła mu głowę...

„Bóg ukarał go i wydał w ręce kobiety“...

Zdanie zaiste epokowe...

Izraelici nie bardzo byli uprzejmi dla kobiety... zarówno, jak i ich Bóg, który wydaje człowieka w ręce kobiety za karę! — Pomyślałem raz w głębi duszy. Cóż jednak zawiniłem ja, żeby On miał mnie ukarać?

Do licha! Ale oto zbliża się nasza gospodyni, która wydaje się, jakby przez noc jeszcze więcej się zgarbiła. Na balkonie przez sieć zieleni przebija się obraz jakiejś postaci... Wenus to, czy wdowa?

Tym razem jest to istotnie ta ostatnia. Pani Tatarowska, uczyniwszy przedemną paniński dyg, prosi mnie w jej imieniu o książki do czytania. Biegnę do pokoju i chwytam kilka tomów, zapomniawszy zupełnie o tem, że do jednego z nich włożyłem fotografię Wenus. Stara już weszła do niej na balkon... Co sobie pomyśli ta urocza

wdówka o mnie? W tej chwili wybuchnęła śmiechem. Niezawodnie śmieje się — ze mnie.

* * *

Pełna tarcza księżyca wytacza się nad szczyty gór i wierzchołki jodeł, okalających park. Mgła leciuchna wślizga się w wąwozy i zagłębienia okolicy, a ponad niemi ścieli się srebrna poświata, hen, jak okiem sięgnąć. Cisza, i tylko strumyki spadają z łoskotem po skałach.

Nie wysiedzę w pokoju. Ubieram się nanowo. Coś mnie woła, coś ciągnie do parku, na polankę, do niej, do mojej bogini, kochanki zaklętej i czarownej.

Noc jest chłodna. Odczuwam do pewnego stopnia dreszcz. Powietrze, przesycone wonią kwiatów i żywicy, aż za ciężkie jest do oddychania.

Co za uroczystość, jak dziwna i piękna muzyka woła! Gwiazdy błyszczą z rzadka na pogodnym błękitcie. Polana wydaje mi się gładką, jakby pokryta taflą lodu, a ponad nią wznosi się posąg mojej bogini.

Przysięgam bliżej i — oczom wierzyć nie mogę. Z ramion posągu opada aż do stóp ciężkie bogate futro... Ogarnia mnie lęk i, — uciekam...

Zaledwie postąpiłem kilkanaście kroków, spostrzegłem, że zmyliłem drogę, wchodząc w aleję, która prowadzi w głąb wąwozu. Zawróciłem z powrotem, i nagle oczom moim przedstawił się wspaniały widok.

Na kamiennej ławce siedzi kobieta, cała w bieli, tylko na ramiona zarzuciła... futro. I znowu zdaje mi się, że to bóstwo zstąpiło z kamiennego głazu, gdy wtem zauważam, że to istota żywa, tętniąca pełnią życia. Usta jej drgają, jak dwa różane listki, — a z oczu promieniają dwa zielone płomyki...

Ona się śmieje...

A śmiech ten jaki dziwny i nienaturalny. Czuję w piersi brak tchu, — uciekam szybko, by co kilka kroków przystanąć i zaczerpnąć powietrza, a ten szatański śmiech ściga mnie przez ocienione aleje i polanki, zalane światłem księżyca. Uciekam na oślep i wpadam w jakąś gęstwinę. Kilka zimnych kropel rosy spadło mi na twarz, jak perły. Nie mogłem się ruszyć dalej. Stojąc tak, zacząłem mówić sam do siebie.

Człowiek jest dla siebie albo za bardzo grzeczny, albo za grubijański.

Osieł!

Słowo to wywiera znakomity wpływ, który mnie otrzeźwia.

Odzyskuję na chwilę równowagę umysłu i z pewnem zadowoleniem powtarzam:

Osieł!

Patrzę na świat znowu trzeźwo i rozsądnie. Rozpoznaję w pobliżu wodotrysk, dalej aleję grabową i willę. Zmierzam ku niej, oglądając się raz jeszcze w kierunku posągu i tej białej postaci na kamiennej ławce. Za chwilę jestem w swoim pokoju, kładę się do łóżka i myślę:

— No, czem ja jestem właściwie: dyletantem, czy osłem?

Ranek był posępny, mglisty i wietrzny. Mimo to udałem się do swojej altany. Czytam „Odysseję“ — o przucidnej Hexe, która swoich wielbicieli zmieniała w potwory. Wcale wartościowy przykład starożytnej miłości.

Wiatr porusza liśćmi i trawą naokół, przewraca mi kartki w książce. Na balkonie również jakiś szmer. Podnoszę wzrok... Ona! w białej sukni, Wenus bez futra, a więc nie Wenus, tym razem urocza żyjąca wdówka i piękna, a mimo to Wenus!

W porannym wolnym kostymie, wygląda istotnie, jak posąg, i patrzy ku mnie. Jest wzrostu średniego, o pięknej głowce, jak na portretach francuskich z epoki markizów. Postać w liniach łagodnych, skończenie artystycznych, posągowych... Wenus!... Ależ bynajmniej... Płec o aksamitnej i zarazem marmurowej bieli. Znać, zda się, poszczególnie zaręsy żył na szyi i ramionach, okrytych w lekki ażurowy szlafroczek. Włosy bujne i... rude... tak, z pewnością, nie blond lub złote, lecz rude, ocieniają jej śliczną twarzyczkę i nadają cechę demonizmu. W tej chwili zwróciła ku mnie oczy pełne siły i wyrazu — oczy prawie zielone, jak tatrzańskie jeziora, i głębokie, bezdenne...

Spostrzega moje zmieszanie, zapomnienie się na chwilę. Jestem nawet mało szarmancki, bo nie podnoszę się z siedzenia i nie odkrywam głowy.

Śmieje się naprawdę dyabelnie.

Podnoszę się wreszcie i oddaję jej ukłon. Ona wychyla się z balkonu i jeszcze głośniejszym, prawie dziecięcym wybuchu śmiechem.

Zaciąłem się, jak młody żak albo stary osieł, i nie wyrzekłem słowa.

W ten sposób zawiązaliśmy między sobą znajomość.

Zeszła następnie do mojej altany i zapytała o imię, wymieniając równocześnie swoje: Wanda Dunajew.

— Niech się panu zdaje, że przyszła tu... Wenus...

— Łaskawa pani zadziwia mnie odgadywaniem moich tajemnic...

— Nic trudnego... W pańskiej książce znajdowała się podobizna.

— Ach, tak... zapomniałem.

— No, a te uwagi na odwrotnej stronie są bardzo interesujące...

— Naprawdę?

— Wie pan... pragnęłam oddawna poznać porządnego fanatyka, tak sobie, dla urozmaicenia, no i — zdaje mi się, że znalazłam...

— Pani... ja istotnie... — zająknąłem się znowu i zarumieniłem po uszy, jak szesnastoletni podłotek, chociaż już wówczas nie należałem do młodzików.

— Przeląknęł się pan mnie dzisiejszej nocy...

— Właściwie... ale... może pani będzie łaskawa spocząć.

Usiadła, przypatrując mi się uważnie. Widocznie uważała, że wstrząsa mną dziwny lęk, jak przed jakimś widmem, mimo białego dnia. Sprawilo jej to wielkie zadowolenie, z czem zdradziła się słodkim, ale wyraźnie ironicznym uśmiechem tryumfu.

— Pan uważa miłość — ozwała się po chwili, — a przede wszystkim kobietę, za coś wrogiego, broni się pan przed nią, ucieka, nie chce pan doznać gwałtownych wstrząśnień i cierpień, które ona ze sobą niesie, a które są bez zaprzeczenia rozkoszą. Wie pan o tem i ucieka. Prawdziwie nowożytny zasady.

— Pani ich przecie nie podziela.

— Nie dzielam ich — przerwała mi żywo, potrząsając głową tak, aż jej się zburzyły bujne, rude włosy, jak czerwone płomyki.

— Ideałem moim jest miłość helleńska, pogodna i bez cierpień, i ideał ten staram się urzeczywistnić w mem życiu. W miłość modernistyczną, skrępowaną kodeksami religijnymi, wcale nie wierzę i nie uznaję jej. Niech mi się pan dobrze przypatrzy... Jestem o wiele gorsza od here-tyczki, bo jestem... poganką.

Miłość była naturalną tylko w epoce bohaterstwa, kiedy to „bogowie kochali się wzajemnie“. Wówczas „na samo wejrzenie budziła się pożądliwość, a wynikiem jej było użycie rozkoszy“. Wszystko inne jest robotą, afektacją, kłamstwem. Cywilizacja średniowieczna i nowożytna narzuciła ludzkości walkę ducha ze zmysłami, zarejestrowała ją do rzędu przykazań, czego ja zupełnie nie uznaję i nie mam zamiaru stosować się do tego.

— O tak, dla pani jedyne miejsce na Olimpie — odpartem; — ale my, ludzie nowożytni, nie możemy podolać swobodzie pogańskich bogów, zwłaszcza w miłości. My się wzdrygamy na samą myśl, że moglibyśmy dzielić się mi-łością jednej kobiety, chociażby to była Aspazya; my je-steśmy zazdrośni. Tak naprzykład imię wspaniałej Fryny stało się u nas obelgą... Każdy z nas woli biedną, bla-dziuchną panienkę, która do niego wyłącznie należy, niż starożytną Wenus, która jeszcze dziś zachowała piękność bogów, ale dziś kocha Parysa, jutro Adonisa, pojutrze znowu kogo innego. Jeżeli jednak natura przewycięży nas, jeżeli, pchani przez płonącą żądzą, oddamy się takiej kobiecie, namiętność jej wydaje się nam grozą demoniczną, i czujemy się, podług zwyczaju — do grzechu, który odpokutować należy.

— A zatem i pan sprzysięga się na kobietę współ-czesną, tę biedną histeryczną istotę, która w wycieczkach somnambulicznych goni za niedoścignionym ideałem, nie potrafi ocenić najlepszego męża i wśród łez i spazmów nie zdoła naruszyć tak zwanych obowiązków, która oszu-kuje i bywa oszukiwaną, poszukuje wciąż, wybiera i od-rzuca i klnie los i życie, nieszczęśliwa i biedna — zamiast wyznać otwarcie, że chce żyć i kochać, jak Helena, jak Aspazya. Nie! Natura nie zna trwałości w stosunku męż-czyzny do kobiety.

— Łaskawa pani...

— Pozwól mi pan dokończyć... Jeżeli mężczyzna za-grzebuje kobietę, jak skąpiec skarb, to jest to z jego

strony szczyt egoizmu. Wszystkie próby, usiłujące zapomocą świętych ceremonii, ślubów i kontraktów wprowadzić w zmienną istotę ludzką — trwałość miłości, spełzły na niczem... I czy może pan zaprzeczyć, że dzisiejszy świat pod względem pojęć o miłości przeszedł w sferę... zgnilizny?...

— Ale...

— Ale... chcę panu powiedzieć — jednostka, któraby się zbuntowała przeciw tym urządzeniom obyczajowym, zostałaby wyklętą, ukamienowaną i spaloną na stosie, nieprawdaż? A mimo to, ja mam odwagę ku temu. Moje zasady są prawe, aczkolwiek pogańskie. Chcę wykorzystać życie i rezygnuję zupełnie z waszych obłudnych poglądów, ceniąc wyżej własne szczęście. Wynalazcy małżeństw nierozzerwalnych dobrze zrobili, powołując się na nieśmiertelność równocześnie, bo uzasadnili potrzebę obowiązku i ofiary. Ja jednak wcale nie mam zamiaru żyć wiecznie. Bo, jeżeli ja, jako Wanda Dunajewska, tracę z ostatniem technieniem wszystko, co mam na tej ziemi, to co mi z tego, gdy czysta moja dusza śpiewać będzie w anielskim chórze, lub też gdy prochy moje utworzą jakąś nową istotę? Jeżeli więc nie będę żyła wiecznie taką, jaką obecnie jestem, to co mi po tem wszystkim? Z jakiego zresztą względu muszę zaprzecić się samej siebie i zaprzedać się w niewolę mężczyźnie, którego nie kocham, a tylko kochałam kiedyś? Bynajmniej, nie rezygnuję ze swego szczęścia i kocham każdego, kto mi się podoba, i uszczęśliwiam każdego, kto mnie kocha. Jestże to brzydkie i złe? Zdaje mi się, że przeciwnie, jest to o wiele piękniejsze, niż gdybym odtrącała bez litości i narażała na cierpienia tych, którzy się do mnie garną. Jestem młodą, bogatą i — nie uważaj pan tego jako zarozumiałość, piękną. Żyję więc wesoło i używam świata wedle własnego upodobania.

Podczas tych jej wynurzeń ująłem bezwiednie jej rękę i, nie wiedząc, co z niemi zrobić, oczywiście ją, niezdara, opuściłem je szybko.

— Godność pani zachwyca mnie, i nie tylko godność, ale... — zacząłem, i znowu wyrazy ugrzęzły mi w gardle, jak wylęknionej pensyonarce.

— Co? co pan chciałeś powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć... pani daruje... przerwałem pani...

— Co, co?

Zapanowało kłopotliwe milczenie, podczas którego niezawodnie piękna kobieta pomyślała sobie: Osieł.

— Może pani będzie łaskawa objaśnić mnie — zacząłem w końcu, — w jaki sposób doszła pani do takich zasad?

— Zupełnie w sposób naturalny i prosty. Miałam rozsądnego ojca, który już od kolebki otoczył mnie figurkami i modelami sztuki antycznej. W dziesiątym roku życia czytałam Gil Blas'a. W dwunastym byłam dojrzała umysłowo i podczas kiedy moje rówieśnicy zachwycaly się „Śpiąciami królewnami“, Karzełkami“, Kopciuszkami i t. p. — ja uwielbiałam Wenus, Apolla, Herkulesa i Laookona.

Za męża dostałam człowieka o charakterze pogodnym i słonecznym, który niedługo po ślubie popadł w chorobę nie do wyleczenia. Nie miał on bynajmniej powodu do zazdrości o mnie, nie troszczył się też wiele o to, czy go kocham, wiedział bowiem, że życie nie do niego już należy. Na krótko przed śmiercią kazał mi usiąść koło siebie na łóżku i ozwał się żartobliwie; „No i cóż? Masz już jakiego wielbiciela?“ Rumieniec oblał mą twarz, chociaż nie pierwszy raz pytał mnie o to, ale w ciągu kilku miesięcy słabości nieraz temat ten poruszał, gdy przykuty do fotelu na kółkach siedział i patrzył w moje oczy. Raz nawet dodał: „Nie kłam przedemną, bo tobyłoby bardzo nieładnie, lecz poszukaj sobie młodego, pięknego mężczyzny, albo nawet i więcej odrazu. Jesteś dzielną kobietą, ale równocześnie jesteś także napół dzieckiem i niezbędne są dla ciebie... zabawki“.

Zbytecznym byłoby dodawać, że, jak długo on żył, nie miałam żadnego wielbiciela, jemu jednak zawdzięczam to, czem jestem; on mnie wychował na Greczynkę.

— Raczej boginię — wtrąciłam.

— Ba, ale którą? — zapytała z uśmiechem.

— Wenus!

Pogroziła mi palcem i, ściągawszy brwi, dodała:

— Wenus, i to... w futrze... Niechno pan zaczeka... mam bardzo obszerne futro, którem mogę pana w całości przykryć albo raczej ułować w nie pana, jak w sieć...

240 4

— Czy pani sądzi — przerwałem jej, gdyż nagle błysnęła mi dobra myśl, — czy pani sądzi, że idee jej dadzą się urzeczywistnić w czasach obecnych, że w wieku telegrafów, kolei, mogłaby Wenus ukazywać się tak, jak ongiś w Arkadyi, bez osłon, w nagiej piękności?

— No, bez osłon nie, ale w futrze — odpowiedziała z uśmiechem; — chce pan widzieć moje futro?

— A potem...

— Potem co?...

— Ludzie mogą być szczęśliwi, pogodni, weseli, jak dawni Grecy, tylko wówczas, gdy będą mieli niewolników, którzyby wykonywali za nich codziennie niepoetyczne obowiązki, czyli innemi słowy, którzyby za nich i dla nich pracowali

— Oczywiście — odparła, — bogini olimpijska, za jaką ja chcę się uważać, musi przedewszystkiem mieć całą armię niewolników. Niechże się więc pan strzeże...

— Dlaczego?

Przelałem się samego siebie, gdy wypowiedziałem to śmiało „dlaczego“. Ona natomiast, rozchyliwszy usta leciuchno, tak, że ukazały się dwa rzędy zębów, jak perły — spokojnie, z roztargnieniem, jakby chodziło o rzecz zupełnie błahą, szepnęła:

— Chce pan być moim niewolnikiem?

— W miłości niema równouprawnienia — odparłem całkiem poważnie; — jak długo jednak mam jeszcze przed sobą wybór roli: tyrana lub niewolnika, ta druga wydaje mi się ponętniejszą; chciałbym być niewolnikiem pięknej kobiety, ale czy znalazłbym taką, któraby osiągnęła na mnie wpływ nie drobiazgową kłótnością, lecz zdołała poważnie i surowo nademną panować?

— No, to zresztą nie byłoby zbyt trudne.

— Sądzi pani...

— Ja naprzykład — przerwała mi, wybuchając śmiechem i przeginając się w tył kokieteryjnie — mam talent do despotyzmu... mam nawet potrzebne ku temu futro, ale — pan... pan bałeś się mnie dzisiejszej nocy.

— Tak, bałem się zupełnie seryo.

— No, a teraz?

— Teraz boję się pani jeszcze więcej...

*

*

*

Jesteśmy prawie ciągle razem. Ja i Wenus. Rano spożywamy razem śniadanie w mojej altanie, wieczorem herbatę w jej salonie. Mam sposobność rozdrobnienia już i bez tego drobnych moich talentów. Miałem się kształcić tyle lat w kierunku wiedzy i sztuki po to, żeby teraz nie być w stanie podbić serca kobiety...

Kobieta ta jednak imponuje mi ogromnie... Dziś próbowałem ją odrysować i pomyślałem sobie w duchu, jak niefortunna jest dzisiejsza toaleta do tej kameońskiej głowy... Ma ona w budowie rysów mniej rzymskich, a więcej greckich cech.

Mógłbym ją malować jako Psyche albo jako Astarte i stosownie do tego uchwycić wyraz jej oczu marzycielski, melancholijny, lub też przyćmiony, wpółzagasty; ale ona sobie życzy, aby to był wierny portret.

Będę ją więc malował i dam jej futro gronostojowe. Jeżeli bowiem komu należy się płaszcz królewski, to chyba jej.

* * *

Wczoraj wieczorem czytałem jej elegie rzymskie, poczem odłożyłem książkę i zadeklamowałem coś z pamięci. Wydawało mi się, że była zadowolona, bo nawet śledziła każde poruszenie moich ust. Pierś jej podnosiła się bardzo szybko. Może się myliłem...

Krople deszczowe uderzały melancholijnie o szyby, na kominku łopotał ogień, smutno, jak w zimie. Było mi bardzo błogo i zacisznie u niej. Na chwilę nawet straciłem poczucie respektu dla pięknej kobiety i począłem całować jej ręce. Nie broniła.

Potem usiadłem u jej podnóżka i czytałem wiersz, napisany do niej:

„A więc przed tobą w pokorze uklęknię
 I patrzeć będę w oczy twoje piękne,
 Jako niewolnik, — niech się, co chce stanie.
 Bierz mnie, ujarzmij, kobieto-szatanie!“

Dalej! — Wówczas naprawdę napisałem po raz pierwszy więcej, niż jedną strofę; niestety, na życzenie jej wręczyłem jej rękopis, nie pozostawiając sobie nawet brulionu.

Dziś, pisząc pamiętnik, tylko pierwszą zwrotkę zdołałem sobie przypomnieć.

Doznaję bardzo dziwnego uczucia. Wiem, że nie jestem wcale w niej zakochany, nie budzi się we mnie ku niej nawet cień namiętności. Odczuwam jednak, jak jej nadzwyczajna, posągowa piękność działa na mnie powoli i oplątuje mnie, jakby siecią żywych, prężących się węzłów. Nie czuję nawet do niej żadnej uczuciowej skłonności, tylko... oddaję się w jej moc zwolna, ale pewnie i całkowicie. Cierpienie moje wzmagą się z dniem każdym, — a ona... ona na to nie ma nic, prócz śmiechu.

* * *

Dziś ozwalała się do mnie zupełnie niespodzianie i bez żadnego powodu:

— Pan mnie zajmuje. Mężczyźni wogóle są pospolici, bez polotu i poezji. W panu odnajduję pewną głębię i natchnienie, a przede wszystkim powagę, która mi imponuje. Radabym pana...

* * *

Po krótkiej, ale gwałtownej burzy odwiedziliśmy oboje razem posąg Wenus na polance w parku. Opary wznosiły się ze zboczy górskich ku niebu, jak ofiarne dymy z ołtarzy; na czarnem tle chmury rozpiął się wspinały łuk tęczy; z drzew spadały grube i ciężkie krople deszczu, ale wróble i zięby skakały z gałęzi na gałąź, ćwierkając, jakby się czemś ogromnie cieszyły; w powietrzu czuć było silny zapach, jak zwykle w lasach szpilkowych po burzy. Nie mogliśmy przejść przez polanę, bo na kwieciu i trawie ciężły rześne krople, błyszczące od słońca, jak dyamenty. Zdawało się, że to jakiś przepyszny kobierzec, tkany drogimi kamieniami, a pośród niego — posąg bogini, którego głowę obsiadły roje komarów, przypominających w słonecznym oświetleniu jakby aureolę.

Wanda była zachwyconą. Ze na kamiennej ławce stała we wgłębieniach woda i usiąść nie mogliśmy. — Wanda oparła się o me ramię całym ciężarem. Czuję na twarzy ciepło jej oddechu... Sam nie mogę sobie przypo-

mnieć teraz, jak to było jak się stało... Ująłem jej białą rękę i zapytałem:

— Czy pani mogłaby mnie kochać?

— Dlaczegożby nie? — odrzekła i spojrzała na mnie spokojnie i pogodnie.

Jak oszołomiony, ukląknęłem przed nią i zanurzyłem twarz w fałdy jej jedwabnej ażurowej sukni.

— Ależ, Sewerynie, to nieprzyzwoicie — krzyknęła.

Nie zważając na to, chwyciłem jej drobną nóżkę i wycisnąłem na niej pocałunek.

— Pan będzie zawsze nieprzyzwoity — ozwała się znowu i, wyrwawszy mi się, pobiegła szybko w kierunku domu, podczas gdy ja pozostałem na miejscu w klęczącej pozycji i trzymałem w ręku drogocenny... pantofelek.

Czyżby to miał być omen?

* * *

Przez resztę dnia nie śmiałem się nasuwać jej przed oczy. Pod wieczór dopiero, siedząc w swojej altance odważyłem się spojrzeć ukradkiem na balkon. Cudna jej główka odbijała wspaniale od zielonego tła bluszczu i dzikiego wina.

— Czemuż pan nie przychodzi? — zawołała niecierpliwie.

Pobiegłem szybko na górę. U drzwi jednak straciłem odwagę zupełnie. Zapukałem bardzo delikatnie, oczekując na słówko „proszę“. Wtem drzwi się otwarły, i Wanda stanąwszy w progu, zapytała:

— Gdzie mój pantofelek?

— Pantofelek... ja... ja... chciałem...

— Niechże mi go pan zaraz przyniesie, ale to zaraz, bo czekam z herbatą...

Po powrocie zastałem ją zajęętą samowarem. Złożyłem uroczyście pantofelek na stole i stanąłem w kącie pokornie, jak dziecko, które coś „przeskrobało“ i oczekuje chłosty. Zauważyłem w jej twarzy pewną surowość, coś, jakby powagę i zarazem groźbę majestatyczną, która mnie zachwyciła. Nagle — uroczą gospodyni buchnęła śmiechem.

— A więc jesteś pan naprawdę we mnie zakochany, co?

— Tak, pani. I cierpię z tego powodu więcej, niż pani się domyśla.

— Pan cierpi — zapytała, śmiejąc się ciągle.

Czułem się ogromnie zawstydzonym, pobitym i małym.

— Dlaczego? — mówiła dalej, — przecie ja panu życzę dobrze, z całego serca...

Podawała mi rękę, patrząc na mnie więcej niż z tklivością.

— I pani mogłaby zostać moją żoną?

Wanda popatrzyła na mnie... ach, jak ona na mnie popatrzyła! Zdaje mi się, że była w pierwszej chwili zdumiona, potem twarz jej przybrała odcień ironii.

— Jak pan mógł zdobyć się na tyle odwagi?

— Odwagi?

— No, tak, odwagi do ożenienia się, zwłaszcza ze mną — tu podniosła w górę pantofelek; — tak szybko zaprzyjaźnił się pan z tym oto przedmiotem? No ale żart na bok. Czy rzeczywiście chce pan ożenić się ze mną?

— Tak.

— Ha, w takim razie to trochę poważniejsza sprawa. Zdaje mi się, że pan mnie kocha i ja pana również, a co ważniejsza, że interesujemy się sobą nawzajem... No, i jeszcze nie stało się żadne nieszczęście, żeśmy tak prędko do tego doszli. Ale musi pan wiedzieć, że ja jestem kobietą lekkomyślną i właśnie dlatego zapatruję się na małżeństwo... bardzo poważnie i jeśli podejmę się obowiązków, to będę musiała im podołać. Boję się jednak... nie... to sprawiłoby panu przykrość...

— Proszę, niech pani będzie zupełnie szczerą...

— A więc, szczerze mówiąc... mnie się zdaje, że nie potrafiłabym kochać jednego mężczyzny dłużej nad...

Urwała nagle i odwróciła głowę.

— Nad jeden rok — dodałem.

— Co pan mówi? Może nawet niecały miesiąc.

— I mnie również nie dłużej?

— No, pana... niech będzie dwa..

— Dwa miesiące? — krzyknąłem.

— O, dwa miesiące to czas dość długi.

— Pani, to jeszcze coś więcej, niż pojęcie sta-
rożytność...

— No, no, nie znosi pan prawdy...

To powiedziawszy, usiadła na fotelu koło kominka

i, opuściwszy ręce przez poręcz, poczęła mi się bacznie przypatrywać.

— Cóż tedy mam z panem począć? — zapytała po chwili.

— Co pani chce — odrzekłem z rezygnacją, — co pani sprawia przyjemność...

— Jesteś pan niekonsekwentny — zauważyła; — dopiero błagałeś pan, abym została pańską żoną, teraz chce mi się pan oddać, jak zabawka...

— Ja panią kocham!

— Masz tobie! Jesteśmy znowu tam, skądśmy wyszli. Pan mnie kocha i chce poślubić, ale ja znowu nie mam zamiaru zawierać drugiego małżeństwa, ponieważ wątpię w trwałość uczuć zarówno pańskich, jak i własnych.

— A gdybym zaryzykował...

— W takim razie pozostaje jeszcze kwestya, czy ja miałabym chęć na to ryzyko — odparła spokojnie. — Wiem o tem dobrze, że mogłabym zostać przez całe życie własnością mężczyzny, ale musiałby to być mężczyzna w całym tego słowa znaczeniu, mężczyzna, któryby mi imponował, któryby zadał gwałt samemu sobie i rzucił mi się do nóg, oddany w zupełności, rozumie pan? Niestety, każdy mężczyzna, skoro tylko się zakocha, jest słaby, podatny, niedołączny, śmieszny, oddaje się w ręce kobiecie z pokorą, na klęczkach, podczas gdy ja mogłabym kochać stale tylko takiego mężczyznę, przed którym jaby musiała klęczeć. Panu jednak jestem za bardzo życzliwą i dlatego nie miałabym serca rozpocząć podobnej próby.

W tej chwili padłem jej do nóg.

— Na miłość Boską, pan znowu klęczy... — ozwała się szyderczo. — Dobrze pan zaczyna..., no, no!...

Powstałem zawstydzony, a ona mówiła dalej:

— Dam panu rok czasu na próbę, abym mnie pan zdobył i przekonał, że się jedno drugiemu nadajemy, że moglibyśmy razem żyć do śmierci. Jeżeli się to panu uda — będę pańską żoną, Sewerynie, ale taką żoną, która ściśle podobała podjętym obowiązkom. Przez ten rok będziemy żyli, jak... małżeństwo...

Poczułem silny zawrót głowy. I w jej oczach zauważyłem płomień.

— Będziemy mieszkali razem — mówiła dalej, —

będziemy dzielili ze sobą wszystkie nasze nałogi i przyzwyczajenia, aby się przekonać, czy się zgodzimy nawzajem. Udzielam panu wszystkich praw męża, kochanka i przyjaciela. Jesteś pan zadowolony?

— Muszę.

— Pan nie musi.

— A więc chcę...

— Znakomicie! Tak mówi prawdziwy mężczyzna.

Oto moja ręka!

*

*

*

Upłynęło dziesięć dni. Nie odłączałem się od niej ani na godzinę, oczywiście z wyłączeniem nocy. Mogłem patrzeć ustawicznie w jej oczy, pieścić jej ręce, włosy, wsłuchiwać się w melodyę jej głosu, towarzyszyć jej wszędzie. Miłość moja wydaje mi się niezgłębioną przepaścią, w którą lecę w szalonym biegu i z której nikt mnie już nie wydobędzie.

Dzisiaj po obiedzie odpoczywaliśmy razem na polance u stóp posągu. Zrywałem kwiaty i rzucałem jej na łono, wilem wianuszki, którymi uwieczyliśmy głowę bogini.

Nagle Wanda spojrzała na mnie wzrokiem tak szczególnym, tak prawie obłąkanym, że aż przeszedł mnie dreszcz namiętności od stóp do głów. Nie panując zupełnie nad sobą, objąłem ją w pól i przycisnąłem rozpalone usta do jej ust. Nie broniła się, — przeciwnie, przycisnęła mnie mocno do piersi.

— Pani się nie gniewa? — zapytałem po chwili.

— Nie mogę się gniewać o to, co jest naturalne — odpowiedziała; — obawiam się jednak... pan cierpi.

— O, cierpię straszliwie.

— Biedaku! — odpowiedziała, odgartując mi włosy z czoła, — mam nadzieję, że nie z mojej winy.

— Nie! Jednakże... miłość moja do pani wyradza się w pewien obłęd. Myśl, że mógłbym panią utracić i że może w istocie utracić panią muszę, dręczy mnie dzień i noc.

— Ależ pan mnie jeszcze wcale nie posiada... Skąd można obawiać się o utratę tego, czego się nie posiadało wcale — odpowiedziała, patrząc na mnie wzrokiem przenikliwym aż do dna duszy.

Potem podniosła się i złożyła wianuszek z bławatków na skroni Wenus.

Prawie bezprzytomnie chwyciłem ją w pól.

— Nie mogę dłużej żyć bez ciebie, o piękna! — szeptałem. — tylko zechceij, uwierzyć, to nie frazesy, nie urojenie. Czuję w głębi duszy, jak życie moje splata się z twojem, i jeżelibyś mnie opuściła, zginę marnie.

— Ależ to zupełnie zbyteczne, gdyż ja cię kocham człowieku — odpowiedziała na to, biorąc mnie za podbrudek, — człowieku... głupi...

— Ale ty chcesz być moją tylko pod pewnymi warunkami, podczas gdy ja należę do ciebie bez żadnych zastrzeżeń.

— To źle, Sewerynie — odparła niemal tem przełkniona; — pan mnie jeszcze nie zna. Czemu więc pan nie stara się mnie poznać? Będę dobrą, jeżeli tylko będziesz umiał obchodzić się ze mną rozsądnie; lecz, jeżeli zanadto mi się oddasz, mogę się stać nieznośną.

— Wszystko jedno, bądź nieznośną, bezwzględną — zawołałem w uniesieniu, — wszystko jedno, tylko bądź moja, moją na zawsze!

Ukląknę przed nią i objąłem jej nogi.

— To niedobrze się skończy, mój przyjacielu — odrzekła poważnie, nie okazując śladu wzruszenia.

— O, to właśnie nie powinno się nigdy skończyć — odparłem podniecony silnie; — tylko śmierć zdoła nas rozłączyć. Jeżeli nie zechcesz zostać moją w zupełności i na zawsze, będę twoim niewolnikiem, będę ci służył, wszystko od ciebie znosił, tylko nie odpychaj mnie od siebie.

— Upamiętaj się pan nareszcie — szepnęła, pochyliła się nademną i ucałowała w czoło. — Jestem panu życzliwą z całego serca, ale nie tędy droga do zdobycia mnie, do ujarznienia.

— Uczynię wszystko, czego pani tylko zarząda, wszystko, aby tylko pani nie utracić — zawołałem; — myśli tej opanować, znieść nie mogę.

— Niechże pan wstanie.

Uśluchałem rozkazu.

— Z pana istotnie dziwny człowiek — mówiła Wanda. — A zatem chce mnie pan posiadać za wszelką cenę?

— Tak, za wszelką cenę.

— Jaką jednak wartość będzie to miało, jeżeli naprzykład przestanę pana kochać i będę należała do kogo innego?

Doznałem wrażenia, jakby mnie kto obuchem w głowę uderzył. Spojrzałem na nią. Stała nieruchomo, pewna siebie. Oczy jej wydawały zimny stalowy blask.

— Proszę — ozwała się po chwili, — przelękłeś się pan na samą myśl o tem.

— Rozumie się. Jeżeli sobie wyobrazę coś podobnego, ogarnia mię groza. Kobieta, którą kocham i która mię kocha, miałaby bez litości dla mnie oddawać się komu innemu... W takim razie jeden tylko miałbym wybór przed sobą... Jeżeli tę kobietę kocham bezgranicznie, do szaleństwa, czyż miałbym obrócić się do niej plecami i w pełni życia i młodości w łeb sobie palnąć z rozpacz?... Ja rozróżniam dwa ideały kobiece. Jeżelibym nie znalazł szlachetnej, uczciwej, dobrej kobiety, któraby chętnie dzieliła ze mną losy i była mi wierną i oddaną, to w takim razie wolałbym się oddać kobiecie, pozbawionej cnoty, uczciwości, wiary, jednym słowem wszystkiego, lecz zato despotycznej i groźnej. Kobieta podobna jest również moim ideałem. Tamta więc, albo ta; nie pośredniego. Jeżeli nie miałbym szczęścia, któreby mi дозволяło wychylić kielich miłości do dna, byłbym zdecydowany zaznać wszystkich męczarni i boleści aż do zapomnienia się. Gotów więc byłbym poddać się wszystkim katuszom, jakieby mi zadała kochana przezemnie kobieta, a więc udrękę, zdradę, wszystko. To byłoby również pewnego rodzaju dla mnie... szczęście.

— Pan nie jesteś przy zdrowych zmysłach — przerwała mi Wanda.

— Kocham panią z całej duszy — ciągnąłem dalej, — wszystkimi moimi zmysłami, istotnie do szaleństwa, i nie wyobrażam sobie życia inaczej, jak tylko w obecności pani, w tej samej atmosferze, która panią otacza. Niech więc pani raczy wybrać jeden z dwu moich ideałów i uczyni ze mnie, co chce, męża, albo... niewolnika.

— A zatem dobrze — odrzekła, marszcząc nieznacznie brwi. — Mam wziąć w zupełne posiadanie człowieka, który mnie zajmuje i który mnie kocha... Doprawdy, to zanadto zabawne... W najgorszym razie będę miała spo-

sobność zabicia nudów... O, tak! Postąpiłeś pan bardzo nierozsądnie, dając mi wybór. Wybieram więc i żądam, pan był... moim niewolnikiem, a uczynię sobie z pana wkrótce zabawkę.

— Niechaj więc pani to uczyni — odpowiedziałem, w połowie oszołomiony. — Jeżeli małżeństwo ma być ugruntowane na równowadze i wspólności myśli, przekonani i dążeń z dwu biegunowo różnych elementów, to musi wywiązać się zeń miłość namiętna i nie zwalczona niczem. My oboje właśnie stanowimy dwa takie przeciwległe elementy, które ustawiają się naprzeciw siebie w pozycyi niemal wrogiej i groźnej. Zwłaszcza ja odczuwam po części lęk i grozę. W takich stosunkach jedno tylko może być młotem, a drugie kowadłem — ja z góry decyduję się na to ostatnie. Już z natury jestem takiego usposobienia, że nie zaznałbym wcale szczęścia, gdybym na swoją ukochaną patrzył z punktu wyższości — wolę być niższym i podległym, wolę kobietę ubóstwiać w trwodze i niepokoju — ale musi to być kobieta groźna i silna!

— Panie Sewerynie — przerwała mi Wanda z odzieniem gniewu — czy sądzi pan, że byłabym zdolną do maltretowania człowieka, który by mnie tak kochał, jak pan?

— Jeżeli ja panią o to błagam... Wszak można kochać prawdziwie wówczas, gdy kobieta przewyższa nas pięknnością, temperamentem, umysłem, siłą woli — jednym słowem, gdy zdolna jest do największego despotyzmu.

— A zatem, to, co odstrasza innych, to pana pociąga, czyż nie tak?

— Istotnie. Jest to właśnie moja specjalność.

— Ha, ostatecznie... należałoby się zgodzić na pańskie upodobania i nie uważać ich za tak bardzo skrajne, boć każdy zdoła odczuć, że między zmysłowością a okrucieństwem nie daleka granica.

— Tak, uczucie to jest u mnie bardzo szeroko rozwinięte.

— Widzę więc, że u pana rozsądek nie odgrywa wielkiej roli. Jesteś pan naturą zmysłową na wskroś i bardzo podatną...

— Za pozwoleniem... czy męczennicy byli także usposobienia podatnego, miękkiego?

— Męczennicy?

— A tak. Oni przecie byli ludźmi nadzmysłowymi, którzy cierpienia uważali za rozkosz, sami poddawali się katuszom, a nawet śmierci z taką samą pogodą ducha, jak inni oddają się zabawom i uciechom. Takim jestem ja — madame.

— No, no, niech pan tylko uważa, abyś pan istotnie nie stał się męczennikiem miłości, albo co jeszcze gorsze, męczennikiem kobiety.

* * *

W łagodny letni wieczór byliśmy sami na balkonie, mając nad głową zielony dach pnących roślin, poza którym rozścięła się pogodny firnament, lśniący milionami gwiazd. Z parku dolatywał nas szept jodeł i „muzyka“... zakochanych kotów. Leżałem u jej stóp na rozciągniętym futrze i opowiadałem jej dzieje swojej młodości.

— Już wówczas objawiała się u pana ta osobliwość — pytała Wanda.

— Tak. Opowiadała mi matka, że już w kołysce zdradzałem pewną anormalność. Nie przyjąłem wcale pokarmu zdrowej i tegiej mamki, czując do niej zapewne odrazę i musiano mnie karmić kozim mlekiem.

Będąc małym chłopcem, okazywałem wielce zagadkowy wstyd wobec kobiet, uciekając od nich z przeczuciem, że są to istoty wrogie. Czułem też niewytłumaczoną trwogę w kościele, patrząc w urocze jego sklepienie, lub na ponure ołtarze. Ale natomiast skradałem się potajemnie do posążku Wenus, stojącego w bibliotece mego ojca. Klekałem przed nią i modliłem się, jak tylko umiałem, zazwyczaj odmawiając zwykły pacierz, Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę.

Pewnego razu opuściłem łóżko w nocy i udałem się w odwiedziny do tej dziwnej przyjaciółki. Światło księżycy wpadało strugą przez okno i oświetlając posąg, nadawało mu wyrazu bóstwa. Wówczas to padłem przed nią na kolana i całowałem jej stopy podobnie jak wieśniacy całują stopy Zbawiciela na krzyżu.

Ogarnęła mnie ogromna tęsknota. Powstałem objąłem martwy posąg w ramiona i zacząłem całować zimne

usta. Nagle spłoszył mnie jakiś szmer w pobliżu — uciekłem i do rana nie mogłem zasnąć, bo mi się zdawało, że bogini stoi nademną i grozi mi podniesioną w górę pięścią.

Do szkoły wysłano mnie w dość wczesnym wieku tak, że w gimnazyum byłem najmłodszym. Ogromne wrażenie wywarła na mnie mitologia grecka, którą zająłem się więcej, niż religią macierzyńską. Wkrótce istotnie wyrobiłem sobie kult bóstw greckich, widziałem w bujnej fantazyi płonącą Troję, towarzyszyłem Odysseuszowi w jego romantycznych wycieczkach — słowem cały świat starożytnej Grecji wywarł na mojej młodzieńczej duszy głębokie ślady i podczas gdy moi koledzy oddawali się przy każdej sposobności pustym wybrykom, ja nosiłem w sercu słoneczne ideały, czując równocześnie wstręt do wszystkiego, co pospolite, niskie i brzydkie.

Nie dziw więc, że w latach młodzieńczych uważałem za rzecz niską i pospolitą — miłość do kobiety, oczywiście miłość taką, jak ją wówczas pojmowałem. Wobec tego unikałem o ile możności zetknięcia się z płcią piękną — słowem pogardałem miłością zmysłową aż do przesady.

Matka moja przyjęła pewnego razu — liczyłem wówczas czternaście lat — bardzo przystojną młodą pokojówkę. Gdy pewnego ranka zagłębiałem się chciwie w dziełach Tacyta podziwiając cnoty starych Germanów, uroczą dziewczyna sprzątała w pokoju i nagle ni stąd ni zowąd, przystąpiła ku mnie i ucałowała mnie siarczyście w same usta. Uczulem w tej chwili niewysłowione uczucie rozkosznego dreszczu, mimo to zasłoniłem się książką jak tarczą przed uwodzicielką i uciekłem z pokoju

— Wanda wybuchła śmiechem.

— W istocie jesteś pan osobą, która szuka swego odpowiednika... No, ale mów pan dalej.

— Nie zapomnę nigdy innej znowu sceny z czasów mojej młodości — opowiadałem w dalszym ciągu — hrabina Sobol, moja daleka krewna, przybyła do moich rodziców w odwiedziny. Była to majestatycznie piękna kobieta, pełna uroku i wdzięku. Mimo to żywiłem do niej wielką urazę, bo uchodziła w rodzinie za Massalinę, a nawet byłem w wysokim stopniu niegrzeczny i rażąco nieprzyjazny. Gdy pewnego razu rodzice moi wyjechali za sprawunkami do pobliskiego miasta, ona, zostawszy

w domu, wzięła sobie do pomocy kucharza i służącą, wpadła do mego pokoju i ni stąd ni zowąd wzięła mnie w swoje obroty, wymierzając mi siarczyste baty do tego stopnia, że pod wpływem bolesnych razów musiałem wreszcie prosić ją na klęczkach o litość i pocałować potem w rękę z wdzięczności za wymierzoną karę. Wypadek ten zmienił mnie niedopoznania. Od tej bowiem chwili, gdy piękna kobieta wychłostała mnie, uczułem w sobie budzące się zmysły i żądze, przedewszystkiem do niej samej. Zdawało mi się, że to jakaś bogini groźna, lecz piękna i pełna powabu.

Cały mój katonizm, odraza do kobiet były więc niczem innym, jak tylko wybujałym zmysłem w kierunku piękności. Zmysłowość zajęła w moich marzeniach pierwszorzędne miejsce i poprzysiągłem sobie wszystkie najsubtelniejsze uczucia miłosne ofiarować nie kobiecie zwykłej, lecz istotnie idealnej, godnej najwyższego bóstwa miłości.

Na uniwersytet począłem uczęszczać stosunkowo w wieku bardzo młodym, we Lwowie, gdzie właśnie owa krewna mieszkała stale. Pokój mój kawalerski przypominał urządzenie sceny z pierwszego aktu „Fausta“. Zgromadziłem w nim najrozmaitsze rupiecie, kupowane od handełesów na Zarwanicy, jak globusy, szkielety, czaszki, mapy, wypchane ptaki, stare księgi, jednym słowem w nieładzie tym można było śmiało oczekiwać, że ze stosów książek i szkieletów, wyłoni się tajemna postać Mefistofelesa, jak się to przydarzyło uczonemu bohaterowi niemieckiego poety.

Studkowałem wówczas wszystko bez żadnego systemu i wyboru: historię, filozofię, prawa, astronomię, literaturę, chemię, fizykę. Czytywałem Homera, Wirgiliusza, Voltair'ea, Moliera, Szekspira, Schillera, Göthego, Biblię, Koran — i stawałem się z dnia na dzień więcej marzycielskim, i oszłomionym. Zawsze jednak pieściłem w marzeniach idealną postać kobiety, pojawiającą się w otoczeniu amorków na posłaniu z róż i kwiecia. Wizya taka przybierała zawsze inny wyraz twarzy. Raz była biała jak marmurowa Wenus, to znowu czerstwa i rumiana jak moja... daleka krewna, hrabina Sobol.

Pewnego ranka, po przebudzeniu się ze snu, w którym ukazała mi się znowu w obłocznych moich marzeniach jak duch słoneczny, — pełna wdzięku i majestatu—

udałem się do hrabiny z wizytą. Przyjęła mnie nader życzliwie i serdecznie i na powitanie uściskała namiętnie, całując mnie przy tem. Liczyła ona w tym czasie około czterdziestki, ale zaszanowana w dobrobycie, wyglądała jeszcze wspaniale. Była ubrana w aksamitny szlafrok niebieskiego koloru, garnirowany bogato. Na pierwszy rzut oka nie spostrzegłem wcale owej surowości i powagi jaką się odznaczała dawniej, w czasie pobytu u moich rodziców, — przeciwnie, okazała się dla mnie zbyt może łaskawą i pozwoliła nawet, bez zbytłych ceremonii, abym ją kokietowałem.

Oczywiście mądra i doświadczona kobieta domyśliła się odrazu, że jestem jeszcze niewinny i że w sercu mojem młodem drzemią wysubtelnione uczucia. Postanowiła tedy wykorzystać sposobność i uszczęśliwić mnie. I byłem istotnie wniebowzięty. Z niewysłowioną rozkoszą kłęczałem u jej stóp, patrząc godzinami na jej białe ręce i okrywając je pocałunkami, te ręce, które wymierzyły mi ongiś dotkliwą plagę. Właściwie to ja byłem zakochany w bieli i delikatności tych rąk. Bawiłem się nimi, jak dziecko zabawką, chowałem je w puch futra, podnosiłem do światła, przyglądałem się im w różnych pozycjach, przyciskałem je do serca i oszałamiałem się ich ciepłem i drżeniem.

Wanda spojrzała mimowoli na swoje ręce i rozśmiała się.

— Zadurzyłem się więc, jak pani słyszy, w rączkach pięknej kobiety, które wymierzyły mi dawniej chłostę, tak samo w dwa lata później zakochałem się w młodej aktorce, która grywała rolę kobiet cnotliwych, a właściwie zakochałem się nie w niej, tylko w postaciach, które ona na scenie tworzyła. Niedługo potem spotkałem w życiu bardzo bogobojną i cnotliwą osobkę, objawiającą te same dodatnie strony charakteru, co aktorka na scenie. Ideał mój, więc znalazł urzeczywistnienie i oddałem mu się całą duszą po to niestety, aby się w zbyt krótkim czasie rozczarować haniebnie. Ideał mój jak się dowiedziałem, utrzymywał stosunki miłosne z pewnym bogatym żydem.

To rozczarowanie wpłynęło na mnie tak dalece, że odtąd nienawidzę wszystkie cnotliwe i podające się za wzorowo i obyczajnie wychowane, a marzycielskie i poetyczne kobiety. Szukam więc ideału innego pokroju. Niech

mi pani wskaże kobietę, któraby miała odwagę wyznać mi wprost: „Jestem hrabiną Pompadour, albo Lukrecyą Borgią“, a oddam się jej w zupełności.

Wanda zerwała się.

— Pan posiada wyjątkowy talent rozogniania fantazy, rozczulania nerwów i rozpalania krwi. Otacza pan błędy aureolą, jeżeli one tylko są honorowe — ideałem pańskim jest śmiała, genialna kurtyzana. No, no, pan może zdemoralizować kobietę nawskróś!

* * *

Około północy zapukał ktoś do mego okna. Wstałem i otworzywszy okno, oniemiałem ze zdziwienia. Na dworze stała, odziana w futro... Wenus.

— Opowiadaniem swojemi podniecił mnie pan do tego stopnia, że absolutnie zasnąć nie mogę — mówiła do mnie szeptem — niechże więc pan przyjdzie do mnie i dotrzymuje mi towarzystwa, bo naprawdę obawiam się o siebie.

— Z całą przyjemnością zastosuję się do życzenia pani.

Zastałem Wandę dygocącą przy kominku na którym roznieciła ogień.

— Zimne są noce w górach — ozwała się — aczkolwiek nie będzie to dla pana przyjemne, nie mogę się pozbyć futra tak długo, dopóki się w pokoju nie ociepli.

— Ej, filut z pani... Przecie pani wie... — wybąknąwszy to, ucałowałem z całych sił nadobną przyjaciółkę.

— Naturalnie, że wiem, ale — skąd u pana to zamięłowanie do futra?

— To u mnie już wrodzone. Już w dzieciństwie zdradzałem upodobanie do tego rodzaju przedmiotu. Futro zresztą wywiera na osobach nerwowych wrażenie bardzo silne, co zresztą jest zupełnie naturalne. Jest to wdziek, któremu trudno się oprzeć. Nauka nowych czasów wykazała pewną ścisłą pokrewność między ciepłem a elektrycznością, jak niemniej analogię ich działania na organizm człowieka.

Tak na przykład w strefie gorącej ludzie są ogromnie namiętni, z drugiej strony stwierdzono, że sierść zwierząt z rodziny kotów zdolna jest wywoływać iskry elektryczne. Tem się też tłumaczy szczególne zamięłowanie do kotów

przez takich ludzi, jak Mahomed, kardynał Richelieu, Crebillon, Rousseau, Wieland, no i prawie wszystkie „stare panny“.

— A zatem kobieta, odziana w futro, nie jest niczem innym jak tylko wielkim kotem lub tygrysem, albo raczej baterią elektryczną.

— Niezawodnie. Tak sobie też tłumaczę znaczenie symboliczne gronostajów na barkach królewskich. — Jest to oznaka potęgi, zarówno jak u kobiety odzianej w nie oznaką piękności. Tej samej myśli byli zapewne genialni mistrzowie pędzla, którzy monarchów jak i boginie piękności dekorowali na swych płótnach obfitością gronostajów. Tak np. Rafael malował boską Farnarynę, albo Tyccyan swoją ubóstwianą kobietę.

— Dziękuję za taką miłość, która wynika z rozumowania naukowego — przerwała mi Wanda — pan jednak nie powiedział mi jeszcze wszystkiego... Pan przywiązuje do futra jeszcze jakieś, osobliwsze znaczenie.

— Tak, i mówiłem już o tem pani, że znajduję osobliwy wdzięk w cierpieniu, jakie zadać mi może kobieta usposobienia despotycznego, odziana w gronostaje — po królewsku. Kobieta taka budzi we mnie piekielną namiętność i nie mogę sobie mego ideału inaczej wyobrazić, jak tylko wcieloną duszę okrutnika Nerona w piękną postać Fryny, odzianej w gronostaje. To mój najwyższy ideał estyki i miłości.

— Pojmuję. Płaszcz gronostajowy dodaje kobiecie istotnie królewskości i majestatu.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnąłem dalej — dowiedziała się pani już odemnie, że jestem człowiekiem nadzmysłowym, że u mnie wszystko w odniesieniu do miłości pobiera pierwiastki ożywcze z dziedziny fantazyi i dziwacznych urojeń. Uroiłem sobie mianowicie, już od pierwszego zarania życia, że prawdziwą rozkosz może sprawić tylko męczarnia zadana przez piękną kobietę, oczywiście męczarnia, jaką z pieśnią na ustach ponosili męczennicy, paleni na rożnach, przybijani do krzyżów, nakłówni na pale. W tem jest najpiękniejsza poezya i szczyt ziemskiej szczęśliwości — to mój kult od lat wypieszczony.

W zmysłowości upatrywałem coś świętego, w pięknie kobiecem widziałem bóstwo, którego najszczytniejszem za-

daniem jest macierzyństwo. Kobieta przedstawiała mi się jako uosobienie przyrody, boginią Iris, której kapłanem i niewolnikiem jest mężczyzna. Wydawało mi się, że ona jest jego nieprzyjaciółką począwszy od chwili, gdy staje się jej zbędnym — że odrzuca go tak, jak przyroda to wszystko, co już zużyła, ale on bynajmniej ubóstwiać jej nie przestaje nigdy.

Zazdrościłem znowu królowi Guntherowi, którego w noc poślubną gwałtowna Brunhilda związała, lub trubadurowi, gdy go miła i łagodna pani kazała zaszyć w wilczą skórę i polowanie na niego urządziła, jak na dzikie zwierzę.

Zazdrościłem wreszcie rycerzowi Etyrardowi, co wpadł w sieci amazonki Szarki i został uprowadzony do zamku, gdzie po nasyceniu się jego pieszczotami, kazała go groźna bohaterka wpleść na koło.

— Wstrętne to wszystko — przerwała Wanda — i życzyłabym panu, żeby się pan dostał w ręce takiej okrutnicy, któraby pana zaszyła w skórę wilka i urządziła na pana polowanie. Inaczej śpiewałby pan, wpleciony na przykład na koło, niż obecnie. Odechciałoby się panu takiej poezyi.

— Tak pani sądzi? — Ja jestem przeciwnego zdania.

— Panu istotnie brakuje jednej klepki.

— Możliwe. Proszę jednak posłuchać dalej. Dla mnie najmiłą lekturę stanowiły te karty z historii, na których opisują srogie katusze, zadawane przez brutalnych tyranów swoim ofiarom, lub męki tortury św. inkwizycyi, wreszcie zajmowałem się z szczególnem upodobaniem źródłowymi traktatami historycznymi o tego rodzaju despotycznych, po części ukoronowanych kobietach, jak Lioussa, Lukrecya Borgia, Agnieszka węgierska, królowa Małgorzata, Isabeau, sułtanka Roksolana i inne. Portrety tych wszystkich królewskich piękności ozdobione są gronostajami.

— Dlatego to na widok tych gronostajów budzi się w panu taka dzika fantazyja — zawołała Wanda, otulając się w swój piaszcz kokietyryjnie w ten sposób, że odsłaniała dyskretnie marmurową pierś i ramiona. — Jakżes więc wydaje się panu teraz? Odczuwa pan męczarnie wbijanego na pal męczennika!

Spojrzała na mnie tak dziwnie przenikliwie, iż zda-

wało mi się, że oczy jej błysły zielonym złowrogim blaskiem — jak u tygrysa. Wystarczyło to zupełnie, aby mnie oszołomić. Rzuciłem się jej w objęcia, szepcząc:

— Tak, pani wzbudziła we mnie długo drzemiącą namiętność...

Objęła mnie za szyję i odpowiedziała półszepsem:

— A więc mam być ową wymarzoną bohaterką...

— I właścicielką swego niewolnika, który panią kocha do szaleństwa.

— Która za to będzie pana dręczyć nielitościwie...

— Chociażby mnie kazała wiązać, chłostać, deptać po mnie... wszystko jedno...

— I zdradzać pana, dla innego mieć pieczyoty — dla pana tylko chłuszczając rękę... Podobają się to panu?

Przeląknęłam się okropnie.

— Pani zaczyna mi imponować...

— My, kobiety posiadamy talent w wynajdywaniu męczarni dla mężczyzn i niech się pan strzeże, aby marzenia jego istotnie nie stały się rzeczywistością, żeby kobieta naprawdę nie uczyniła z pana największego nieszczęśliwca pod słońcem.

— Jestem zdecydowany. Ideał swój widzę obecnie przed sobą, dotykam go rękoma i oczekuję rozkoszy, jakie mi każdej chwili gotowa zadać...

— Jakto? To miałabym być ja? — krzyknęła Wanda, zrywając się. — Czyś pan oszalał?

Poczęła biegać po pokoju i śmiać się tak złośliwie i szyderczo, że uciekłem natychmiast, omal nóg sobie na schodach nie połamawszy. Śmiech jej dolatywał moich uszu aż na dół, aż do mego mieszkania.

* * *

— A zatem obstatek pan jeszcze przy tem, abym była ucieleśnionym pańskim ideałem — pytała mnie Wanda, gdyśmy się spotkali następnego dnia w parku.

Z początku nie mogłem się zdobyć na żadną odpowiedź, walcząc z samym sobą ogromnie. Ona tymczasem usiadła na kamiennej ławce i bawiąc się zerwanym kwiatkiem, powtórzyła:

— A więc?

Ukląknęłam przy niej i ująłem jej rękę.

— Błagam panią na wszystkie świętości, aby ze-

chciała być moją ukochaną, kochającą i wierną żoną. Jeżeli pani nie może się na to zdobyć — wówczas niech pani przemieni się w mój wymarzony ideał, w straszną boginię i srogą bez żadnej litości, bez żadnych względów.

— Powiedziałam panu przecie, że gotowa jestem oddać panu rękę i serce po upływie roku, jeżeli się przekonam, że pan jest takim mężczyzną, jakiego szukam — odparła poważnie Wanda — sądzą jednak, że pan byłby mi bardzo wdzięczny, gdybym dopomogła mu do urczywistnienia jego mrzonek... Proszę tedy wybierać — jedno z dwojga.

— Mnie się zdaje, że pani posiada wszystkie warunki ku temu, aby się stać tem, o czem ja marzę.

— A jeżeli się pan myli...

— O, nie. Przekonałem się, że nieograniczona władza nademną, sprawiałaby istotnie pani przyjemność.

— Nie, nie — zaprzeczyła żywo i zamyśliła się na chwilę — sama siebie nie rozumiem, nie pojmuję, i jestem zmuszoną uczynić panu wymówkę. Pan wypaczył moje poglądy, roznamiętnił mnie chorobliwie tak, że zaczynam nabierać manier owych wykolejonych seksualnie kobiet, o których mi pan ciągle wspomina. Coś mnie ciągnie w tę przepaść, coś mnie zmusza do podobnych wybryków i szaleństw — eh zresztą — jeżeli już pan tak chce — będę pańską margrabiną Pompadour, ale tak tylko w miniaturze.

— Nareszcie decyduje się pani — przerwałem podniecony. Dobrze więc, ale pani musi w zupełności popuścić cugli swej naturze. Tu nie wystarczy nic połowicznego, albo będzie pani dla mnie ubóstwianą, kochającą, wierną żoną, albo demonem przewrotności i zła.

Nie zdawałem sobie wręcz sprawy z tego, co mówiłem. Opanował mnie szał, począłem drzeć jak w febrze, to jedno tylko sobie przypominam, że całowałem jej stopy bez upamiętania, czemu ona w końcu gniewnie się sprzeciwiła.

— Jeżeli mnie pan kocha — ozwała się do mnie poważnie — to proszę nigdy już mi o tem nie wspominać, rozumie pan, nigdy! W końcu mogłabym istotnie... Urwała, wybuchając śmiechem.

— Mówię zupełnie seryo, że kocham panią nad życie i jestem gotów znieść wszystkie próby, na jakieby

mnie pani wystawiła, byle tylko znajdować się na zawsze w obecności pani i patrzeć w jej piękną, boską twarz.

— Sewerynie, ostrzegam pana raz jeszcze.

— Ostrzeżenie to zbyteczne. Może pani uczynić ze mną, co zechce, tylko niech mnie pani nie odpędza od siebie.

— Ależ... proszę o tem pamiętać, że jestem kobietą lekkomyślną i młodą i jeżeli pan odda mi się tak bez zastrzeżenia, to bardzo łatwo uczynię sobie z pana przedmiot igraszki. Któż pana wówczas obroni, kto podźwignie z przepaści, z której niema powrotu.

— Pani sama.

— Gwałt przeobraża człowieka.

— Niechaj więc pani przeobrazi się i podepce mnie silną stopą.

Wanda oparła ręce na moich ramionach i patrząc mi badawczo w oczy, ozwała się:

— Obawiam się, Sewerynie, że nie zdołam cię uszczęśliwić tak, jakbym pragnęła, ale — spróbuję, gdyż kocham cię tak, jak nikogo na świecie.

* * *

Tego samego dnia udała się Wanda do bazaru, zabierając oczywiście mnie ze sobą i zażądała nahajki.

— Taka wystarczy — ozwał się kupiec, podając jej na krótkim trzonku rzemienną nahajkę.

— Mogłaby wystarczyć — odrzekła Wanda, spoglądając znacząco na mnie — ale wolę większą.

— Życzy sobie pani taką na buldoga?

— Proszę pokazać.

Wybierała dość długo, aż wreszcie znalazła odpowiedni bat, na którego widok ciarki mnie przeszły.

— Do widzenia, Sewerynie — rzekła do mnie — mam jeszcze poczynić pewne sprawunki i żenowałoby to pana, gdyby był przy kupnie obecny.

Pożegnałam ją posłusznie, przechadzając się w kierunku domu tam i napowrót. Niebawem nadeszła moja ubóstwiana i przywołała mnie skinieniem ręki.

— Kupiłam na pana to, czego się pan tak ustawicznie domaga.

— Jestem za to bardzo wdzięczny.

— Doprawdy, nie mogę pogodzić się z tą myślą. Jesteś niczym innym jak tylko waryatem.

— Albo twoim niewolnikiem.

— Czuję jednak jakąś dziwną żądzę w sobie, żądzę zdziwienia się nad tobą tak, jak tego pragniesz. Lecz co ty biedaku poczniesz, gdy naprawdę, ale to naprawdę, stanę się katem dla ciebie, tak jak Dyonizyusz, który kazał wynalazcę żelaznego wołu wsadzić naprzód do wnętrza tej bestyi i piec, aby się przekonać, czy jęki męczonogo podobne będą do ryku zwierzęcia. A nuż ja będę takim Dyonizyuszem?

— Bądź nim — jestem na to przygotowany. Należę do ciebie w zupełności, czy będziesz dobrą, czy złą, piekielnie szatańską...

* * *

„Mój najdroższy!

Nie życzę sobie wcale, abyś się ze mną widział dziś i jutro. Możesz do mnie przyjść dopiero pojutrze wieczorem, już jako mój niewolnik.

Twoja władczyni Wanda“.

Słowa: „Jako mój niewolnik“ były na bilecie podkreślone. Przeczytałem to kilka razy z rzędu i następnie wybrałem się na dłuższą wycieczkę w góry, aby tam wśród prześlicznej przyrody zagłuszyć w sobie poniekąd tęsknotę do mojej ukochanej i wymarzonej kobiety. Powróciłem dopiero na trzeci dzień, głodny, zmęczony i niewyspany. Mimo to przebrałem się natychmiast w strój wizytowy i udałem się o oznaczonej godzinie do niej.

Zasłałem ją stojącą na środku pokoju. Widocznie spodziewała się mego nadejścia, bo była ubrana stosownie i w dodatku miała na sobie zarzucony ów płaszcz gro-nostajowy.

— Wando! — krzyknąłem od progu, oczarowany jej pięknnością i chciałem rzucić się jej na szyję.

— Niewolniku! — odpowiedziała, odpychając mnie od siebie brutalnie.

— Oh, tak, władczyni moja — poprawiłem się, ukląknąłem, całując brzeg jej sukni.

— A tak, to co innego.

— Jesteś zachwycającą.

— Podobam ci się, co?

— Niezmiernie — do szaleństwa. Jestem istotnie szalony.

— A więc dobrze, bądź szalony i podaj mi nahajkę.

Obejrzałem się po pokoju, gdy w tem ona rozkazała:

— Albo nie — zostań tak na klęczkach!

Zbliżyła się do kominka, gdzie na gzymsie wisiała rzemienna nahajka. Chwyciła ją, wymachnęła kilka razy w powietrzu i zamierzyła się na mnie.

— No? Proszę!

— Koniecznie?

— Jeżeli ci to sprawia przyjemność...

— A jeżeli nie, głupcze jakiś.

— Ale ja cię błagam o to.

— Skoro tak...

Uderzyła mnie dwa razy po plecach.

— No?

— To nic nie znaczy.

— Nic? Poczekaj.

I poczęła mnie chłostać z całej siły tak, że wilem się jak wąż z boleści.

— Czy jeszcze nie dosyć?

— Nie.

W odpowiedzi kopnęła mnie nogą, aż się przewróciłem.

* * *

Noc przepędziłem w gorączce na strasznych rozmyślaniach i marzeniach o tem, co zaszło i zerwałem się z łóżka równo ze świtem.

A zatem zostałem wychłostany ręką kobiety i to tak porządnie, że czuję jeszcze bolące pręgi na grzbiecie — tak — ziściły się moje sny, moje chorobliwe marzenia. Doznałem tej wściekłej rozkoszy z jej ręki...

Czuję pewne zmęczenie — a jednak myśl o tym wypadku orzeźwia mnie i podnieca. Kocham ją, ach, jak ją ją kocham, co czuję dla niej w głębi duszy — jak pragnę urzeć się czolgającym u jej stóp...

* * *

Oto woła na mnie z balkonu. Biegnę szybko po schodach i zastaję ją na progu z uśmiechem przyjaznym i miłym.

— Wstydzę się — szepnęła, podając mi białą, mięciuchną rękę.

— Coś powiedziała?

— Zapomnij o tej wczorajszej scenie — odrzekła drżącym głosem — uczyniłam zadość twoim kaprysom i na tem koniec. Musimy teraz patrzeć na świat rozsądnie i kochać się po ludzku, nie jak waryaci — w przeciągu roku pobierzemy się.

— Byłoby to możliwe, aby władczyni zniżyła się do niewolnika?

— Ani słowa więcej o tem jakimś niewolnictwie — odparła ostro — ani tchu o całej zwaryowanej historii — rozumiesz?

Skinąłem głową posłusznie, udając się za nią do pokoju.

* * *

Zegar brązowy, na którym umieszczona była statuetka Amora z naciągniętym łukiem do strzału — wybił dwunastą o północy. Wstałem, zamierzałem odejść.

Wanda nie mówiła nic, tylko objęła mnie w pół i przyciągnęła ku sobie na otomnę, całując mnie bez upamiętania. Była to najwymowniejsza niema rozmowa, słodkie przyzwolenie na wszystko. Z pod przymkniętych lekko powiek płynęła upojona słodycz, a od ramion obnażonych, od wznoszącej się i opadającej szybko piersi promieniowała oszałamiająca moc.

— Proszę cię... ale może się pogniewasz... ozwałem się.

— Wolno ci wszystko...

— Zdepcz mnie, odtrać, gdyż inaczej stracę zmysły.

— Jak to, czyż ci nie zakazałam wspominać więcej o tej głupiej rzeczy ty, ty... niepoprawny.

— Ach, bo ty nie pojmujesz, co się ze mną dzieje — odparłem, przyciskając głowę do jej łona — ty tego nie zrozumiesz.

— A może i pojmuję. Całe to twoje dziwactwo nie jest niczem innym, jak tylko nienasycona zmysłowość, demoniczna choroba ducha, wytworzona przez nienaturalne

wychowanie. Gdybyś był mniej... cnotliwy, możnaby cię uważać za zupełnie rozsądnego mężczyznę.

— Spróbuj mnie z tego wyleczyć — szeptałem, bawiąc się obfitymi zwojami jej włosów, z których spływała czarowna siła, jakby elektryczność i pocałem ją całować, a właściwie to ona całowała mnie tak namiętnie i nielitościwie, jakby mnie zamordować chciała. Popadłem w gorączkę, straciłem przytomność i dopiero po chwili próbowałem się uwolnić z jej żelaznych uścisków.

— Co tobie jest? — spytała.

— Cierpię okropnie.

— Cierpisz? — powtórzyła i roześmiała się na głos.

— Możesz się śmiać, bo, bo nie masz pojęcia...

Spojrzała na mnie poważnie, chwyciła moją głowę w obie dłonie i przycisnęła ją silnie do piersi.

Wando! — prosiłem się.

— Oh tak. Ból sprawia ci zadowolenie i rozkosz — mówiła śmiejąc się — ale poczekaj, już ja cię z tego ulecę.

— Ale ja nie chcę o tem wiedzieć wcale, o tem, czy ty chcesz do mnie należeć na zawsze, czy tylko na chwilę — ja chcę wykorzystać zbliżające się do mnie szczęście — jesteś teraz moją i wolałbym cię raczej utracić byle tylko posiąść.

— No, no, zacznasz nareszcie być rozsądnym — odpowiedziała na to, obsypując mnie ponownie pocałunkami, podczas gdy ja odsłoniłem jej pierś z koronek i — straciłem przytomność zmysłów.

*

*

*

To bardzo ciekawe, że ilekroć dwoje osób zakocha się w sobie szalenie, zaraz dyabli nadadzą trzecią, nieproszoną.

Przeżyliśmy oboje wspaniałe chwile przez dni kilka, włącząc się po górach i kniejach, oddani sobie nawzajem w zupełności, nie śledzeni przez nikogo.

Aż tu nagle zjeżdża do Wandy jakaś przyjaciółka, podobno wdówka, trochę starsza od niej i więcej doświadczona, ale nie tak inteligentna. Przyjaciółka ta zaczęła wywierać na Wandzie swój wpływ prawie pod każ-

dym względem. Moja najdroższa zaczyna mnie zaniedbywać. Czyżby przestała mnie kochać tak prędko?

* * *

Upłynęło całych czternaście dni w strasznej dla mnie niepewności. Przyjaciółka mieszka razem z Wandą i nigdy nie możemy się zejść sam na sam. Obie bywają otaczane rojem wielbicieli, wobec czego jest mi bardzo głupio. Wanda uważa mnie jako zupełnie obcego.

Dzisiaj podczas przechadzki zeszedliśmy się sam na sam na chwilę, spostrzegłem, że ona umyślnie oddaliła się od towarzystwa, by pomówić ze mną.

— Moja przyjaciółka bardzo się dziwi, że ja cię kocham. Wprawdzie przyznaje żeś przystojny i miły, ale mimo to kotłuje mi głowę od rana do wieczora o życiu w stolicy, o zabawach i rozrywkach, no i tem, że mogłabym tam zrobić znakomitą partyę, gdyż posiadam ku temu dostateczne warunki. Cóż jednak z tego, skoro ja ciebie kocham, ciebie tylko na świecie...

— Ależ pani — ozwałem się po chwili namysłu — ja wcale nie chcę zagrażać pani drogi do szczęścia. Proszę nie zważać na mnie wcale, nie krępować się żadnymi względami dla mnie.

To powiedziawszy nacisnąłem kapelusz i oddaliłem się szybko.

Zdziwiła się tem niemało, nie rzekła jednak nic. Tego samego dnia spotkaliśmy się raz jeszcze w przelocie. Uściśnęła mi ukradkiem rękę i spojrziała przytem na mnie tak serdecznie i życzliwie, że wystarczyło to zupełnie, aby cierpienia moje dni ostatnich były wynagrodzone.

Teraz dopiero pojmuję dokładnie, jak ogromnie ją kocham.

* * *

— Moja przyjaciółka skarżyła się na ciebie — mówiła do mnie dziś Wanda.

— Zapewne z tego powodu, że jej nie nadskakuję.

— Ale powiedz no, dla czego ją tak lekceważysz, głupcze jakiś — przerwała mi Wanda, biorąc mnie za uszy jak żaka.

— Bo jest obłudna. Ja cenię tylko takie kobiety,

które albo są cnotliwe, albo też nie kryją się wcale z tem, że hołdują zasadzie lekkich obyczajów.

— Jak naprzykład ja, co? Ale widzisz moje dziecko, kobieta może być do tego zdolna tylko w wypadkach nadzwyczajnych. Ona oprócz gorącej zmysłowości, może być wolną pod względem duchowym na wzór mężczyzn. Miłość jej wypływa z dwu źródeł: ze zmysłowości fizycznej i skłonności duchowej, a serce jej pozatem pragnie pozyskać miłość jednego mężczyzny, podczas gdy zbiegiem okoliczności sama należeć musi do wielu. Wynika stąd rozterka, a następnie kłamstwo i obłuda, po największej części wbrew chęci i woli i tak powoli charakter jej ulega zupełnemu zepsuciu.

— Tak, to prawda — zauważyłem — kobiece błędy polegają zazwyczaj na zmienności charakteru, który prowadzi otwarcie do kłamstwa i obłudy.

— Czyż nie wymagają tego same stosunki społeczne? — przerwała mi Wanda. — Naprzykład ta kobieta, ta moja przyjaciółka, ma we Lwowie męża i licznych wielbicieli, a tutaj znalazła sobie nowego adoratora i oszukuje ich wszystkich, a mimo to wszyscy ją cenią i uwielbiają.

— Przemennie może ona wciągnąć cię w swoje środowisko i wpływać na ciebie wedle swoich poglądów. Ale sądzę, że ona lekceważy cię i uważa za... towar, który można dobrze spieniężyć...

— Cóż w tem złego? — oburzyła się piękna kobieta. — Każda z nas posiada instyktowną skłonność do tego, aby korzystać ze swych wdzięków i piękności. Zresztą oddanie się bez miłości, bez zadowolenia własnego stanowi także pewien urok, daje pewne zadowolenie, że się jest zimną, nieubłaganą i że mężczyzna odczuwa to i... cierpi.

— I to mówisz ty?

— Ależ ja, oczywiście ja. Zapamiętaj sobie, mój drogi, co ci powiem: nie czuj się nigdy bezpiecznym u boku kobiety, którą kochasz, ponieważ natura kobieca kryje w sobie więcej niebezpieczeństw, niż ci się wydaje. Kobiety wogóle są dobre, miłe i szczerze, jak ich wielbiciele, ale zarazem złe i przewrotne, jak ich wrogowie. Charakter kobiety polega na zupełnym braku... charakteru. Najcnotliwsza kobieta zniża się jednej chwili do poziomu bagna, najpodlejsza wznosi się nagle do wyżyn najszczyt-

niejszych zadań i czynów ku zgorszeniu tych wszystkich, którzy nią gardzili. Niema na świecie kobiety, któraby nie była zdolną każdej chwili do czynów najgorszych i najpospolitszych, a z drugiej strony do szlachetności i bohaterstwa. Mimo postępu cywilizacji, została ona taką samą, jaką wyszła z rąk Stwórcy: zachowała w sobie charakter pierwotny, który się objawia wiernością i zdradą, litością i okrucieństwem, stosownie do warunków, jakie ją otaczają. Tylko najsurowsze wychowanie zdoła wyrugować z niej te pierwiastki, ale dzieje się to zbyt rzadko. Mężczyzna kieruje się w życiu zasadami, kobieta tylko uczuciem, jakie ją w danej ogarnia. Nie zapomnij o tem i nie uważaj się bezpiecznym u boku kobiety, którą kochasz.

* * *

Nareszcie przyjaciółka odjechała, i jesteśmy oboje z Wandą przez jeden wieczór sami.

Ukochana moja po długiej rozłące jest tak niezmiernie dobra, czuła, łaskawa, że wręcz jej nie poznaję. Usta drżą, jak rozchylony kwiat, pocałunków spragnione, — ramioną obnażone prężą się, obejmują mię w gorący uścisk, — oczy upojone, przymknięte... Wierzyć się nie chce, że to rzeczywistość, że ta przepiękna kobieta jest moją, moją w zupełności.

— A mimo wszystko — ozwała się wreszcie Wanda, nie otwierając oczu, — ja mogę w jednym zupełnie z nią się zgodzić.

— Z kim?

Nie odpowiedziała.

— Z tą przyjaciółką?

Skinęła głową na znak potwierdzenia.

— Ona miała słuszność, twierdząc, że ty wcale nie jesteś mężczyzną, lecz fantastą, wielbicielem bez opamiętania i, jako opanowany i przykuty kochanek, mógłbyś stanowić zdobycz nieocenioną. Nie mogę jednak pogodzić się z tą myślą, abys był moim mężem.

Zerwałem się, zaniepokojony tem wielce.

— Co tobie? czemu tak drzysz?

— Przeraza mnie myśl o tem, jak łatwo mogę cię postradać.

— Lecz czy jesteś mimo to w tej chwili mniej szczę-

śliwy? — odpowiedziała z pewnym wyrzutem, — czy zmniejsza twoje szczęście to, że należałam przedtem do innych i że po tobie posiadać mnie będą znowu inni? czy zresztą rozkosz twoja byłaby mniejsza, gdybym nawet równocześnie uszczęśliwiła drugiego?

— Wando!

— Bo, widzisz — mówiła dalej, — to byłby jedyny sposób wyjścia. Ty nie chcesz mnie utracić, bo mię kochasz, i ja ciebie kocham i mogłabym się nie zmienić do końca życia pod warunkiem, że oprócz ciebie...

— Co za myśl! — krzyknęłam. — Co za zgroza wieje z tych słów, Wando!

— Pytam jednak, czy mimo to kochasz mię mniej, niż przedtem?

— Ależ przeciwnie.

Wanda oparła się na łokciu i mówiła dobitnie, a zwolna:

— Mnie się zdaje, że kobieta, chcąc na zawsze pozyskać mężczyznę, nie musi koniecznie być mu wierna. Którażbo kobieta może być więcej uwielbiana nad heterę?

— Rzeczywiście w niewierności kobiety jest coś, co wywołuje bolesną rozkosz, najwyższy szczebel namiętności.

— Nawet dla ciebie? — podchwyciła żywo.

— Tak, nawet dla mnie.

— I jeżeli ja zrobię ci tę przyjemność... — dodała szyderczo.

— W takim razie będę straszliwie cierpiał, ale tem więcej uwielbiał cię i kochał. Tylko nie śmiesz mię okłamywać, lecz z całą siłą i bezczelnością demona musisz powiedzieć mi: ciebie jednego będę kochała, ale oddam się każdemu, kto mi się podoba.

— Nie jestem usposobiona do kłamstwa — odrzekła potrząsając głową. Lecz któryż mężczyzna zdolny jest oprzeć się prawdzie?... Jeżeli naprzykład powiem ci: podobne życie, ugruntowane na zasadach pogańskich, jest moim ideałem, czy znajdziesz w sobie tyle siły, aby to znieść?

— Niezawodnie, od ciebie zniosę wszystko, byle tylko cię nie utracić. Czuję bowiem, jak małą wartość dla ciebie przedstawiam.

— Ależ, Sewerynie...

— A jednak tak jest, i właśnie dlatego...

— Z czegoż tak niezbiecie wnioskujeś? — zapytała, uśmiechając się złośliwie.

— Niema zresztą o co się sprzeczać. Chcę być twoją własnością, którąbyś mogła rozporządzać wedle wszelkich kaprysów i zachcianek, ale nie życzyłbym sobie być ci ciężarem. Pragnę widzieć cię wielką, szczęśliwą i potężną, a siebie w roli najniższego sługi...

— Po części masz słuszość — przerwała mi, — ponieważ tylko w takim razie możesz znieść odemnie wszystko, gdy będziesz mi ślepo i bezgranicznie oddany. Uśmiecha mi się to wreszcie i przypomina rozkosze olimpijskie starożytnych bogów. Cóż bo to za szczęście widzieć przed sobą tarzających się w prochu poddanych! Chciałabym być otoczoną szeregiem drżących z obawy niewolników...

— Takim ja jestem przecie.

— E, ty co innego. Chcę być twoją, jak długo zdołam cię kochać.

— Miesiąc?

— Może dwa...

— A potem?

— No, potem zrobię z tobą, co mi się spodoba.

— A z sobą co?

— Ze sobą? Będę boginią, która od czasu do czasu zstąpi do ciebie z wyżyn olimpijskich... Ale — dodała, chwytając się oburącz za głowę — co to wszystko warte?... Przecież to mrzonki, fantazyja waryata, która się nigdy nie urzeczywistni.

Wstrząsnął nią silny dreszcz, a na twarzy zmieniła się do tego stopnia, że nie mógłbym jej poznać.

— Dlaczego wątpisz w to wszystko? — zapytałem po chwili.

— Bo nasze stosunki społeczne do tego się nie nadają.

— W takim razie wyjedźmy stąd, na Wschód lub gdziekolwiek, gdzie możliwe jest wszystko...

— Myślisz o tem naprawdę? — zapytała, a w oczach jej błysnęły dziwne iskry.

— Naprawdę. Wyjedźmy tam, gdzie prawa uznają niewolnictwo, gdzie nie przeszkodzi ci nic panować nademną nieograniczenie. Będziesz miała w swoim ręku moje życie.

— Ej, ty, ty, dzieciaku kapryśny — pogroziła mi Wanda, — doprawdy zadziwiasz mnie swoją... głupotą. No, ale wiem, że to z miłości dla mnie, bo kochasz mnie do szaleństwa i nie wiesz nawet, co mówisz.

Dalsze jej słowa zagłuszył szmer pocałunków.

— No — zapytała po chwili, — masz jeszcze chęć do wyjazdu wśród dzikich ludzi?

— Przysięgam ci na wszystko, że pójde za tobą choćby między ludożerców, jako twój sługa i niewolnik.

— A jeżeli ja wezmę na seryo tę przysięgę?

— Możesz, proszę cię o to.

Zamyśliła się na chwilę, poczem ozwała się poważnie:

— Ostatecznie... wiesz co? zaczyna mi się to podobać. Będziesz mi oddanym, wiernym, jak pies, służalcem nieodstępnym, a ja będę twoją panią, władczynią nieubłaganą i groźną, no i...

— I co?

— Lękam się, że pożałujesz swego kroku. Ale... stało się; mam twoje słowo.

— Którego przecie dotrzymam.

— O to już ja się postaram. Teraz jednak dość już z mrzonkami i majaczeniami; chcę wreszcie ziścić je, zakląć w rzeczywistość.

*

*

*

Zdawało mi się, że już, już poznałem tę kobietę... Gdzież tam! Niepodobna z nią dojsć w żaden sposób do ładu: kręci się wiecznie w kółko, zawsze jedno i to samo, wciąż obiecuje uczynić zadość moim wymaganiom, a nie ma chęci nawet zacząć w tym kierunku.

Chwyciłem się wreszcie ostatecznego środka: ułożyłem pisemną umowę, na mocy której zapragnąłem się jej oddać na tak długo, jak jej się będzie podobało.

Objawszy mnie jednym ramieniem za szyję, czytała ustęp za ustępem i po każdym całowała mnie, żartując, że w ten sposób wyraża... kropki.

— Umowa zawiera punkty, jedynie odnoszące się do mnie — zauważyłem.

— Nie może przecie być inaczej, skoro oddajesz mi się bezgranicznie. Odtąd bowiem zrzekasz się wszelkich praw, wszelkich względów; będziesz w mojem ręku tem, czem chcę; uważać cię będę za rzecz, rozumiesz, za rzecz.

Do tego się obowiązujesz, na to dajesz słowo honoru i składasz przysięgę.

— Pozwól, jeden jeszcze warunek...

— Nie! zapóźno już.

— Chciałem tylko zauważyć, że wolno ci robić ze mną, co ci się spodoba, bylebyś tylko nie zdała mnie na pastwę któremu ze swoich wielbicieli, gdyby się tacy znaleźli.

— O, co do tego możesz być spokojny. Do tego stopnia nie będę przecie okrutną.

— Daruj więc, że śmiałem cię o to posadzić — prosiłem, całując ją po rękach.

— Ej ty, ty! — groziła mi żartobliwie i, przytuliwszy twarz do mej twarzy, ozwała się po chwili: — Zapomniałeś coś bardzo ważnego.

— ?

— Abym zawsze nosiła ów płaszcz gronostajowy, który wywiera na ciebie tak wielkie wrażenie.

— Dobrze. Czy mogę już podpisać umowę?

— O, nie. Muszę tam dodać jeszcze pewne uwagi i warunki. Podpiszesz go dopiero na miejscu.

— W Konstantynopolu?

— Gdzieżtam! Namysliłam się. Coby to była za przyjemność mieć niewolnika tam, gdzie ich ma każdy. Ja chcę tu, w społeczeństwie cywilizowanym, pozwolić sobie na taki egzotyczny eksperyment, a mianowicie mieć niewolnika nie z tytułu prawa lub zwyczaju, lecz przykutego do mnie przez moją piękność i miłość. Jest to dla mnie bardzo ponętne i niezwykle. Na wszelki wypadek wyjedziemy stąd gdzieś, gdzie nas nikt nie zna i gdzie bez żenady możesz wykonywać obowiązki mego służącego.

— Więc nie na Wschód?

— Prawdopodobnie do Włoch: do Rzymu albo Neapolu.

*

*

*

Wanda siedziała na otomanie otulona w płaszcz obsyty gronostajami. Włosy rozpuściła w nieładzie, bujne, jak grzywa lwa. Całą istotą, zda się, zawisła rozkochana kobieta na moich ustach, jakby chciała wyssać ze mnie życie i duszę.

— Jak pięknym jesteś w tej chwili! — szepnęła do

mnie namiętnie. — W oczach twoich błyszczy płomień zachwyty, jaki spostrzedz można na malowidłach włoskich, przedstawiających grozę męczeństwa pierwszych chrześcijan.

Słuchałem tych słów, pełen dreszczów i dziwnego niepokoju, — rozkoszowałem się niemi, jak potępieniec oszalały — zsunąłem się do jej stóp, jak ongiś przed marmurowym posągiem bóstwa, i przysięgałem stokroć w myśli uczynić wszystko, coby tylko zażądała... pójść z nią chociażby do piekła!

* * *

Teraz dopiero pojmuję wielbiciela uroczej Manon l'Escault, który szalał za nią nawet wówczas, gdy była metresą drugiego, i narażał się przez to na pośmiewisko.

Miłość nie zna cnoty ni zasług. Ona znosi, przebacza i uświęca wszystko, bo takie jej przeznaczenie, taka rola w życiu ludzkim. Kochamy się nie wówczas, gdy chcemy, i nie w tym kogośmy sobie z góry upatryli, — nie kierujemy się żadnymi względami ani na strony dodatnie, ani nie odstraszaają nas błędy i wykroczenia. Ona jest tajemniczą, drogą i rozkoszną potęgą, która nas porywa, gdzie sama chce, i my się nie bronimy, nie pytamy nawet, dokąd nas prowadzi i co z nami uczyni.

* * *

Na deptaku pojawił się dziś poraz pierwszy jakiś rosyjski książę, który atletyczną swą postacią i klasycznymi rysami twarzy zwrócił uwagę wszystkich gości kąpielowych. Szczególnie kobiety podziwiały go, szepcząc słowa zachwyty między sobą. On jednak nie zwracał najmniejszej uwagi na szmer wśród natłoku publiczności i tysiąca spojrzeń, lecz spacerował spokojnie i swobodnie wzdłuż alei w towarzystwie dwu służących: murzyna z okolic podzwrotnikowych, odzianego w czerwoną suknię i uzbrojonego czerkiesa. Nagle zauważył Wandę, począł jej się uważnie przypatrywać, a gdy przechodziła koło niego stanął, i obrócił się jeszcze, patrząc długo za nią, gdy go minęła.

A ona — odpowiedziała na tę zaczepkę ognistym.

spojrzeniem swoich zielonych oczu, i zdawało się, że jest mu najzupełniej rada. Ta wyrafinowana kokieterya, z jaką unosiła suknię, postępowała w jego oczach i wogóle usiłowała mu się przedstawić — ubodła mnie do głębi. Gdyśmy wrócili do domu, nie omieszkałem jej o tem napomknąć.

— Co? — krzyknęła gniewnie, — wymówki? Ależ, mój kochany, książę jest człowiekiem, który mi się może podobać, a nawet olśnić mnie; no, a ja przecie jestem wolna i mogę sobie tak postąpić, jak mi się podoba...

— A zatem mogę wnioskować, że mnie już nie kochasz — wycedziłem, siłąc się na opanowanie bólu i trwogi.

— Kocham ciebie tylko jednego, ale to wcale mi nie przeszkadza, abym zawiązała znajomość z księciem.

— Wando!

— Niby co? Czyż nie jesteś moim niewolnikiem, a ja czyż nie mam być dla ciebie okrutną Wenus północy, odziana w gronostaje? To ciekawe!

Umilkłem. Słowa jej ugodziły mię w samo serce, jak żądła żmij.

— Słuchaj! musisz natychmiast dowiedzieć się, jak się ten książę nazywa, skąd pochodzi, czem jest... słowem przynieść mi najdokładniejsze wiadomości o wszystkich jego stosunkach.

— Ależ...

— Żadne „ale“! Ja rozkazuję, i tak być musi, rozumiesz? — przerwała mi z niezwykłą surowością w głosie, tak, że się naprawdę przeląknęłem. — Nie pokazuj mi się na oczy prędzej, aż się o wszystkim dowiesz... zrozumiano?

I zrozumiałem. Posłuszny jak baranek, pożegnałem ją natychmiast i udałem się czynić wywiady. Dopiero po południu mogłem wrócić do niej z pewnymi wiadomościami. Nie prosiła mię nawet, jako sługę, bym usiadł, lecz rozparła się w fotelu i patrzyła na mnie badawczo, jakby chciała już z wyrazu twarzy wyczytać, czy spełniłem należycie jej zlecenie.

— Podaj mi podnózek — ozwała się krótko i sucho.

A gdy rozkaz wykonałem i stanąłem przed nią, jak ordynans przed służbowym oficerem, dodała łaskawie:

— Możesz sobie ukłknąć tu koło mnie.

— Powiedz mi, jak się to wszystko skończy? — zapytałem, dość jeszcze onieśmielony.

— Co? A jakżeby się miało skończyć to, co się jeszcze nie zaczęło wcale — odparła, wybuchając głośnym śmiechem.

— Jesteś więcej złośliwa, niż się tego spodziewałem — odpowiedziałem urażony.

— Sewerynie — ozwała się zupełnie poważnie, — nie uczyniłam jeszcze niczego, ale to dosłownie niczego, a ty już nazywasz mnie złośliwą. A co to będzie, gdy wedle twoich życzeń stanę się taką, jaką mnie chcesz mieć, jeżeli chcę żyć swobodnie i wesoło i mieć cały zastęp nadskakujących wielbicieli, a dla ciebie tylko bat i kopnięcia?...

— Bierzesz moje fantazje zanadto seryo.

— Zanadto seryo? — powtórzyła. — O, nie myśl, że się będę bawiła w ciuciubabkę; wiesz przecie, że nie znoszę komedyi. Chciałeś zresztą tak sam, a nie ja, nieprawdaż? Ty sam doprowadziłeś mię do tego, że się stałam taką, jaką chciałeś mnie mieć... no i teraz już przepadło.

— Proszę cię, moja kochana, mówmy zupełnie spokojnie. Nie o to przecie idzie, co ty masz na myśli, ale zupełnie o co innego. Jesteśmy przecie oboje szczęśliwi bez granic i możemy być takimi na zawsze. Czyż tedy dla chwilowego kaprysu warto poświęcać całą naszą przyszłość?

— To nie jest kaprys.

— Więc co?

— Ach, lepiej nie pytaj. Być może, że byłabym kobietą uczciwą, łagodną, dobrą, poważną, kochającą i wierną, ale ty wypaczyłeś moje uczucia, mój charakter; wzbudziłeś we mnie żądze, o których nigdy nie miałam pojęcia; żądze te opanowały mnie, ubezwładniły mą wolę, przestoczyły mnie w zupełności... I ty chciałyś teraz aby to wszystko było nieprawdą, abym się stała tem, czem byłam pierwiej? Zapóźno mój kochany!...

— Ależ, moja najdroższa, uspokój się — przerwałem, całując ją, jakbym ją chciał tem przeprosić.

— Daj mi spokój!... Nie jesteś wcale mężczyzną.

— A ty?

— No, ja, ja jestem kapryśna, uparta... wiesz o tem

dobrze. Nie znoszę chorobliwych majaceń i fantazyi, i gdyby mi je przyszło spełnić, byłabym tak samo słaba i niedołężna, jak ty. Mimo to, jeżeli coś postanowię, to zwykłam tego dokonywać, tem trwalej, im więcej piętrzy się przeciwności. Zostaw mnie w spokoju.

To powiedziawszy, odtrąciła mię od siebie i zerwała się na równe nogi.

— Wando! — krzyknąłem, zrywając się równocześnie i stając naprzeciw, gotów do walki.

— Sądzę, że mnie już zupełnie poznałeś; ostrzegam cię więc jeszcze raz i pozostawiam wybór; możesz sobie odejść każdej chwili.

— Wando, przestań — prosiłem ze łzami w oczach.

— Przecie ja cię kocham... A ty się mylisz i wmawiasz w siebie sama, że jesteś zła. To nie prawda. Mnie się zdaje, że niema lepszej istoty pod słońcem nad ciebie.

— E, co ty wiesz, co ty możesz o mnie wiedzieć — przerwała mi żywo, — ale mnie jeszcze poznasz.

— Wandeczko...

— Namyśl się, póki czas, bo nie zdołasz poddać się w zupełności...

— A jeżeli zdołam.

— Wówczas...

Przystąpiła ku mnie z szyderczym uśmiechem na ustach i, założywszy ręce, wpatrywała się długo w moje oczy, podczas gdy ja rozkoszowałem się jej widokiem do upojenia. Była bowiem w tej chwili taka sama, jaką widziałem ją zawsze w moich snach.

— No, dobrze! — szepnęła w końcu przez zęby.

— Jesteś rozdrażniona i zła... Boję się, abys...

— O nie, nie, nie... nie masz się czego obawiać.

Uwalniam cię w zupełności; możesz sobie pójść i więcej nie wrócić.

— Ależ... to przecie żart...

— Mój panie! Powiedziałam panu zupełnie poważnie, abys pan uwolnił mnie od swojej osoby. Jesteś pan tchórzem i kłamcą, który nie umie dotrzymać danego słowa. Precz mi z oczu w tej chwili!

— Wando!

— Nędzniku!

Straciłem zimną krew. Rzuciłem się jej do nóg i począłem płakać, jak dziecko.

— Płacz, łzy... tego jeszcze było potrzeba — mówiła, wybuchając śmiechem. — Czy pan nareszcie pójdziesz sobie odemnie?

— Litości! — błagałem, czólgając się u jej stóp. — Jeżeli odepchniesz mię od siebie, jestem zgubiony, zgubiony bezpowrotnie, gdyż żyć bez ciebie nie mogę ani jednej chwili.

— O, tak, jesteś zdolny do czólgania się, jak pies... Teraz dopiero poznaję, czem jesteś. Ale ty mnie jeszcze nie poznałeś i później dopiero doświadczysz mię na własnej skórze.

Poczęła przechadzać się wielkimi krokami po pokoju z niecierpliwością, podczas gdy ja pozostałem na klęczkach i ocierałem ukradkiem łzy. Wreszcie ozwała się tonem szorstkiego rozkazu:

— Pójdź tu!

Posłuszny usiadłem koło niej, drżąc na całym ciele. Z początku patrzyła na mnie ponuro, niebawem jednak rozjaśniła się jej twarz. Chwyciła mię w objęcia i poczęła zcałowywać łzy z moich oczu.

* * *

Co jest szczególnie i śmieszne, to to, że ja, jak ten niedźwiedź w zwierzyńcu, mógłbym bujać, a nie chcę, — że znoszę wszystko, skoro mi tylko grozi... wolnością.

* * *

Jeżeli ona raz jeszcze weźmie bat do ręki... Można się tego spodziewać po niej każdej chwili. Zdaje mi się, że jestem myszką w jej ostrych pazurkach i że ona stosownie do kaprysu gotowa mnie rozszarpać.

Czy istotnie tak uczyni? Co ona ze mną pocznie?

* * *

Udaje, że wcale nie pamięta o naszej umowie. Jest dla mnie nieskończenie czuła, dobra i pełna miłości. Przeżywamy najrozkoszniejsze chwile w życiu. A może to tylko kaprys? Może ona umyślnie jest taką, aby potem mężczyźnie, jakie zamierza mi zadać, były o tyle więcej przykre i boleśniejsze?

* * *

Dzisiaj kazała mi czytać głośno dyalog między Faustem a Mefistofeilesem.

Słuchała w wielkim skupieniu, patrząc na mnie rozmarzona.

— Jesteś zadowolona? — zapytałem, odkładając książkę.

W odpowiedzi odgarnęła mi włosy na czole i dopiero po pewnej chwili ozwała się:

— Jesteś mi bardzo drogi, Sewerynie, i nie wiem, czy zdołałabym kochać kogo więcej, niż ciebie. Dźwięk twoich słów upaja mnie, oszałamia. Poezya! Słowa pełne zachwytu... Jakże nam dobrze tak razem we dwoje... Czy odczuwasz to w całej pełni?

Nie mogłem odpowiedzieć, bo starałem się z całych sił stłumić strumienie łez.

— Oj, dzieciaku, dzieciaku! — pocieszała, obtulając mnie istotnie, jak dziecko.

* * *

Dziś podczas przejażdżki spotkaliśmy się z rosyjskim księciem. Jechał powozem. Można było odgadnąć, że obecność moja u boku Wandy irytowała go niewymownie. Starał się też przeniknąć wzrokiem moją piękną towarzyszkę. Na szczęście ona — ku wielkiej mojej radości — ani spojrzała na niego, ignorując go, a natomiast zwróciła się do mnie z lubym, serdecznym uśmiechem.

* * *

Gdy dzisiejszego wieczoru miałem jej rzec „dobranoc“, zauważyłem u niej dziwne roztargnienie. Dopiero, gdy byłem w progu, ozwała się:

— Przykro mi, że już odchodzisz. Chciałabym być z tobą zawsze.

— To zależy jedynie od ciebie. Jeśli zechcesz, możesz skrócić wyznaczony czas próby.

— Och, może nie uwierzysz, że czas ten nietylko dla ciebie, ale i dla mnie wydaje się zadługi do przeżycia.

— A zatem skróć go, zostań moją żoną.

— Żoną? Nigdy, Sewerynie — odparła łagodnie, ale stanowczo.

Dotknęło mnie do żywego.

— Ty nie jesteś mężczyzną dla mnie.

Popatrzyłem na nią uważnie, cofnąłem powoli ramię, którym obejmowałem jej smukłą kibić, i wyszedłem z pokoju.

Nie próbowała mnie wcale zatrzymać.

Nie zmrużyłem oka przez całą noc, układając sobie najrozmaitsze plany i odrzucając je potem jeden po drugim, jako niemożliwe do wykonania. Ostatecznie zdecydowałem się. Raniutko napisałem list, w którym oznajmiłem jej, że uważam stosunek za zerwany zupełnie. Ręce przy tem drżały mi, jak u alkoholika. Zapieczętowaawszy pismo, odniosłem je sam na górę, by własnoręcznie wrzucić do skrzynki na drzwiach... Nogi podemną uginały się i wypowiadały mi posłuszeństwo.

To jednak, co się stało, było dla mnie zupełną niespodzianką. W chwili, gdym się zbliżył pod jej próg — ona odchyliła drzwi i wysunęła przez nie głowę pełną papilotów.

— Jestem jeszcze nieubrana — ozwała się z uśmiechem. — Czego pan sobie życzy?

— List...

— Do mnie?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— A! pan chce zerwać ze mną — uprzedziła mnie szyderczo.

— Przecie pani powiedziała wczoraj sama, że się dla niej nie nadaję.

— I powtarzam panu dzisiaj to samo — odrzekła.

— A więc — urwałem z wielkiego wrażenia, i w milczeniu podałem jej list.

— Może go pan sobie zatrzymać — odparła przypatrując mi się uważnie. — Zapomina pan, że tu wcale nie może być mowy o tem, czy nadaje się pan dla mnie jako mąż, czy nie. Jako sługa jednak — mogę się zdecydować.

— Łaskawa pani.

— O, to, to. Odtąd będzie mnie pan zawsze tak nazywał — podchwyciła żywo i wyniosłe. — Spakuj pan swoje manatki w przeciągu 24 godzin, bo pojutrze wyjeżdżam do Włoch, a pan będzie mi towarzyszył, jako służący.

— Wando!

— Zakazuję panu nazywać mnie po imieniu — odrzekła surowo — tak samo, jak zakazuję panu wchodzić do mnie inaczej, jak tylko na odgłos dzwonka, lub, gdy pana zawołam. Pan od tej chwili nie nazywa się dla mnie Seweryn, lecz Grzegorz...

Drżałem z trwogi i oburzenia, a jednak nie byłem w możności zaprzeczyć temu. Prosiłem tylko, jak można najprzejmiej:

— Łaskawa pani zna przecie moje stosunki. Jestem jeszcze zawisły od ojca i wątpię, czy da mi potrzebne fundusze, na tak kosztowną podróż.

— To znaczy, że nie masz żadnych pieniędzy, Grzegorzu — zauważyła z zadowoleniem — tem lepiej, w takim razie będziesz tem więcej odemnie zawisłym.

— Niech pani zważy, że należę do towarzystwa, że...

— Że jesteś człowiekiem honoru, nieprawdaż? I o tem pomyślałam. Właśnie jako człowiek honoru dałeś pan słowo, poprzysiągłeś oddać mi się do dowolnego rozporządzenia, bez żadnych wyjątków, żadnych praw i ulg. A zatem możesz odejść, Grzegorzu.

Skierowałem się do odejścia.

— Jeszcze nie! Wprzód musisz swoją panią pocałować w rękę — dodała, podając mi rękę przez drzwi nie-dbale i z dumą nieokreśloną, a ja cymbał skończony, osieł kwadratowy, przyłgnałem ustami do tej ręki, jak zgłodniały wilk. Otrzymałem za to łaskawie udzielony uśmiezek i skinienie głowy...

* * *

Pałem światło u siebie do późna w noc, porządkując rzeczy i rozpisując listy do różnych znajomych, zawiadamiając ich o wyjeździe za granicę na dłuższy czas.

Nagle zastukał ktoś do okna. Otworzyłem je i ujrzałem — Wandę, otuloną w futro. Było bowiem dosyć już chłodno na dworze.

— Czy Grzegorz już gotów?

— Jeszcze nie, jaśnie pani.

— Podoba mi się ten tytuł i masz mnie znowu tak nazywać, rozumiesz? Jutro o dziesiątej wyjeżdżamy. Do stacyi będziesz moim towarzyszem, od chwili jednak, gdy wsiądziemy do pociągu, będziesz moim lokajem, albo ra-

czej, wedle umowy niewolnikiem. No, a teraz zamknij okno i otwórz drzwi.

Wykonałem spiesznie jej rozkaz, wprowadzając ją do pokoju. Rozejrzała się wokół, zmarszczyła brwi i rzuciła od niechcenia:

— No, i jakże ci się podobam?

— Ty...

— Żadne „ty“, kto ci na to pozwolił? — przerwała mi, grożąc szpicrutą.

— Jasnie pani jest skończoną pięknoscią.

— A tak, to co innego — a rozsiadłszy się w moim fotelu — dodała — chodź tu, uklęknij!

Nie było innej rady. Musiałem usłuchać rozkazu.

— Pocałuj mnie w rękę... W drugą... O tak... A teraz w usta...

Objąłem ją w ramiona z szaloną namiętnością i pocałem obsypywać pocałunkami, które oddawała mi jeszcze z większym temperamentem.

*

*

*

Punktualnie o dziewiątej rano, stosownie do jej rozkazu, było wszystko gotowe. Wsiedliśmy do wygodnego powozu, opuszczając na zawsze zaciszną miejscowość górską, gdzie zawiązał się tak nieopatrznie dramat mojego życia, w który wówczas niktby nawet uwierzyć nie mógł.

Było jeszcze jako tako. Siedziałem u boku Wandy, która rozmawiała ze mną swobodnie, jak z dobrym znajomym przyjacielem; to o Włoszech, to o najnowszej literaturze polskiej, to wreszcie o muzyce wagnerowskiej. Była ubrana w kostium podróźny, przypominający strój amazonek, z grubej czarnej materyi, obramowany suto gronostajami. Bujne włosy spięła w warkocz, zakryty niemal zupełnie czapczką podróźną i gęstym welonem.

Była w bardzo dobrym humorze, wpychała mi w usta cukierki, gładziła mi rozmierzwione wiatrem włosy, poprawiała krawatkę i pieściła moje ręce. A kiedy żydek powożący zdrzemnął się na koźle, lub się odwrócił, w mgmieniu oka pocałowała mnie zimnemi usteczkami. Przypominały mi one jesienną różę, która zakwitła zapóźno w pośród nagich badyli i pożółkłych liści,

Do przedziału jej wsiadło dwu gogów, z którymi flirtuje w najlepsze, nic sobie ze mnie nie robiąc. Umieram z zazdrości i gonię od pociągu na stycę po sprawunki i spieszę się, by pociąg nie uciekł. Nastał wieczór. Moja pani rozciągnęła się wygodnie po jednej stronie przedziału i otuliła się w futro, podczas, gdy dwaj kawalerowie siedzą naprzeciw niej i udają jej aniołów stróżów. Ja niestety muszę się dusić w ciasnym przedziale trzeciej klasy, w dymie tytoniowym i słuchać sprośnych piosenek żołdaków lub wstrętnego żydowskiego żargonu.

* * *

W Wiedniu zatrzymaliśmy się na jeden dzień, celem załatwienia sprawunków. Oczywiście towarzyszę jej po sklepach i magazynach jako służący, krocząc za nią w przyzwyczajeniu oddaeniu kilka kroków i dźwigając na sobie, jak posłuszny osioł całe fury towarów.

Przed odjazdem w dalszą drogę kazała mi się przebrać po krakowsku. Rad nierad naciągnąłem szerokie, czerwone w paski spodnie, wysokie buty, bogato wyszywaną sukmanę i pas z mnóstwem brząkałów i kółek. Do kompletu przepyszną czerwoną rogatywkę z pękami piór pawich. Jest mi w tem nawet dość ładnie. Nie mam nawet czasu oponować przeciw temu, gdy moja pani podała kelnerowi mój nowiutki garnitur.

Mam uczucie, jakobym był niemem stworzeniem, sprzedanem na jarmarku, albo żem zaprzedał duszę dyabłu i on teraz ze mną tak wydziwia.

* * *

Mój piękny dyabeł wpakował mnie znowu do trzeciej klasy, ale tu przynajmniej niema już zasmarowanych galicyjskich żydów, ani chłopów z fajkami. W przedziale jadą jacyś włoscy robotnicy, sierżant od żandarmów i jakiś ubogi malarz. Powietrze w przedziale, niema już zapachu cebuli, lecz trąci zgłiwiałym serem i salami.

Zapadła znowu noc. Wyciągnąłem się na drewnianej ławce i zdaje mi się, że wszystkie kości we mnie połamane. Nie brak jednak i poezji w tem wszystkim. Siedzący naprzeciw sierżant ma twarz, jak Apollo w Belwe-

derze, a malarz śpiewa półgłosem przedemną pieśń tęsknoty :

Szumią jodły na gór szczycie,
Szumią sobie w dal.
Mnie młodemu tęskne życie,
Bo mam w sercu żal.
Nie mam żalu do nikogo,
Tylko do ciebie niebogo,
Oj Halino,
Oj jedyno,
Dziewczyno moja!
Oj Halino, oj jedyno,
Dziewczyno moja!

Wsluchuję się w tę pieśń i myślę o swojej, niestety, nie Halinie, nie dziewczynie, lecz królowej, która w przedziale pierwszej klasy śni na puchach o rozkoszach bogów starożytnej Grecyi.

* * *

Florecya! Ruch, krzyk, nie do zniesienia. U wyjścia z peronu tłumy tragarzy i fiaków. Wanda daje znak jednemu z dorożkarzy i ogląda się za posługaczem. Nagle, jakby się namyśliła :

— Od czegoż zresztą mam służącego. Grzegorz, masz tu recepis, przynieś pakunki.

Wsiadła do karetki, okrywając się w futro, podczas gdy ja dzwigan na plecach ciężki kufer, tak zresztą niezgrabnie, że potraściłem jakiegoś karabiniera, a on za to pomógł mi wyłożyć ciężar na kozieł.

— Kufer zapewne jest bardzo ciężki, bo mam tam wszystkie moje futra — zauważyła.

Wstąpiłem na kozieł obok woźnicy, ocierając kroplisty pot z czoła. Moja pani wymieniła hotel. W parę minut później zatrzymaliśmy się przed wspaniałym domem.

— Są wolne pokoje? — zapytała portyera.

— Si, madame.

— Dwa dla mnie, jeden dla mego służącego — wszystkie z piecami.

— Mamy właśnie tylko dwa z kominkami. Dla słu-

żącego może być nieogrzany — zauważył garson, wybiegając skrętnie do karetki.

— Proszę mi pokazać te pokoje.

Obejrzała je przelotnie i zgodziła się.

— Dobrze. Proszę mi tylko rozniecić ogień. Służący może spać w pokoju bez opalenia.

Spojrzałem na nią z niemym wyrzutem.

— Niech Grzegorz przyniesie mój kufer — rozkazuje mi, nie zważając na moje błagalne spojrzenia — muszę się przebrać i zejść do sali jadalnej. Ty potem dostaniesz także coś na wieszczkę.

Poczęła się przebierać w drugim pokoju, a ja tymczasem taskałem na plecach kufer, przyczem pomógł mi usłużny garson, zasypując mnie pytaniami, mocno łamaną francuszczyzną, o mojej pani. Obaj roznieciliśmy następnie ogień na kominku. Rozejrzałem się po pokoju. W kącie stało wysoko zasłane poduszkami łóżko, na podłodze dywany. Ogień parska na kominku. Jakże tu miło, jak błogo...

Zszedłem na dół i zażądałem co do zjedzenia. Życzliwie usposobiony kelner, były żołnierz austriacki, wszczyna ze mną rozmowę i ob ługuje mnie po przyjacielsku. Ostatecznie po trzydziestu sześciu godzinach dorwałem się ciepłej strawy i ledwie wziąłem do ręki nóż i widelec, ona weszła do sali. Wstałem od stołu.

— Jak pan może prowadzić mnie do tej samej jadalni, gdzie mój służący siedzi — zwraca się gniewnie do garsona i opuszcza jadalnię.

Podziękowałem w duchu Bogu, że się tak stało, i że mogłem spokojnie się posilić. Następnie udałem się do przeznaczzonego dla mnie pokoju. Była to mała zakopcona ciupka, w której paliła się lampka olejna i w jednym kącie stało proste łóżko, a obok mój kufeczek. Ani okna, ani pieca, ani nawet lufciku. Do tego wściekle zimno! Zapewne cele więzienne w Wenecyi nie były gorsze, pomyślałem, i wybuchnąłem tak głośnym śmiechem, aż się sam siebie przeląkałem.

Nagle otworzyły się drzwi i ukazał się garson, rozkazując mi z teatralnym giestem po włosku:

— Idźcie do swojej pani natychmiast.

Chwyciłem czapkę i udałem się po schodach na

pierwsze piętro, stanąłem przed jej drzwiami i zapukałem.
— Wejść!

* * *

Wchodzę ostrożnie i zatrzymuję się przy drzwiach. Wanda rozgościła się zupełnie swobodnie. Jest tylko w negliżu, nasadzonym bogato koronkami. Usadziła się w pobliżu kominka na puszystym dywanie, otulając się w to samo futro, w którym ukazała mi się poraz pierwszy, jako bogini.

Pokój oświetlony wspaniale. Światło lamp odbija się w olbrzymich lustrach weneckich, od kominka bije czerwona poświata, jak luna i odbija się o bujne włosy mojej pani, o gronostaje, o jej twarz posagową, która przyjaźnie ku mnie się zwraca.

— Jestem z ciebie zadowolona, Grzegorz — zaczęła.

Ukloniłem się.

— Przyjdź bliżej.

Uśluchałem rozkazu.

— Jeszcze bliżej. — Spojrzała na mnie czule i wyciągnęła ramię z pod futra. — „Wenus w gronostajach“ wita swego niewolnika... Widzę, że jesteś pan czemś więcej, niż pospolity fantasta i, że zdolny pan jesteś sprostać swoim postanowieniom. Okazałeś się pan takim, jakim sobie nawet trudno było wyobrazić — to mi się bardzo podoba, to mi imponuje. Jest w tem moc, a moc zawsze budzi podziw. Sądzę nawet, że w czasach ku temu odpowiednich mógłbyś pan odegrać niepospolitą rolę. Naprzykład za pierwszych cesarzów rzymskich byłbyś pan niezawodnie męczennikiem, podczas Reformacji anabaptystą, w rewolucyi francuskiej jednym z najzagorzalszych żyrondistów, którzy z pieśnią marsylianki na ustach szli na gilotynę. Niestety pan jesteś obecnie moim niewolnikiem, moim...

Zerwała się nagle tak, że płaszcz opadł jej z ramion i oplotła mnie ramionami, jak polip.

— Mój najdroższy niewolniku, jak ja ciebie kocham, jak uwielbiam, jak wspaniale wyglądasz w stroju krakowskim, ale... ty dzisiejszej nocy zmarzniesz w ciasnej, nędznej izdebce. Muszę ci pożyczyć swego futra...

Podniosła z ziemi płaszcz i zarzuciła mi go na ramiona, owijając mnie nim szczerlnie.

— Jakże ci w nim do twarzy! Dopiero teraz występują twoje szlachetne rysy w całej pełni. Skoro tylko przestaniesz być moim sługą, musisz sobie taki sprawić, przynajmniej szlafrok.

I znowu zaczęła mnie głaskać, pieścić i całować, wreszcie pociągnęła mnie ku sobie na dywan.

— Podoba ci się, jak sądzę, mój płaszcz. Oddaj mi go, żywo, żywo, gdyż inaczej stracę urok dla ciebie i moc, która cię do mnie przykuwa.

Odłożyłem płaszcz. Wanda zarzuciła go sobie na ramię.

— Tak, namalował Tycyan swoją boginię... Ale dosyć już żartów. Nie miej tak nieszczęśliwej miny, bo mnie to źle usposabia. Jesteś moim sługą, tylko wobec ludzi, zresztą nie podpisałeś jeszcze umowy i jesteś wolny, możesz mnie każdej chwili pożegnać. Rolę swoją odegrałeś wybornie i naprawdę byłam zachwycona. Czy jednak nie za wiele ci już tego, nie znieawidziłeś mnie jeszcze? No mów, rozkazuję ci!

— Muszę to wyznać, Wando.

— Bezwarunkowo.

— A jeżeli ty za to będziesz się mścić — odrzekłem.

— Zakochany jestem w tobie bez granic i uczucia moje będą się potęgowały tem silniej, im więcej będziesz dla mnie okrutną i srogą.

I rzuciłem się ku niej, oszołomiony szczęściem porwałem ją w ramiona.

— A zatem możesz mnie tak kochać tylko w tym czasie, kiedy jestem dla ciebie surową i srogą — odpowiedziała na to, marszcząc brwi — idź już. Nudzisz mnie. No idź, nie słyszysz?

I wymierzyła mi taki policzek, aż mi świeczki w oczach stanęły.

— Pomóż mi naciągnąć płaszcz.

Usługiwałem jej, jak mogłem najlepiej.

— Co za niezdar — mruzczała, dając mi szcztuka w nos. Czuję, że się przeobraziłem w zupełności.

— Wyrządziłam ci może krzywdę?

— Ależ bynajmniej.

— No, mógłbyś spróbować skarżyć się na mnie. Miałbyś się z pyszna. A teraz pocałuj mnie...

I znowu przywarliśmy piersiami do siebie i złączyły się nasze usta w płomiennym pocałunku. Zdawało mi się zupełnie seryo, że jestem w uścisku rozjuszonej niedźwiedzicy, która łechce mnie miękkim puchem sobolów i gronostajów i zapuszcza pazury w moje ciało aż do krwi. Ale uwolniła mnie wreszcie. Ze zwieszoną głową wszedłem po schodach do swej nory, rozmyślając nad arcykomicznością życia i bezdenną swoją głupotą.

— O tak — pomyślałem — przed chwilą przyciskałem do piersi najpiękniejszą w świecie kobietę, a teraz muszę spać jak Chińczyk w norze. Doprawdy, warto się zastanowić nad tem wszystkim. Chińczycy nie wymyślili wcale płomiennego piekła, do którego pakowano potępieńców, lecz wyobrażają sobie, że piekło, to kraina wiecznego mrozu i że sroższe tam męczarnie. Prawdopodobnie założyciele religii chińskiej, mieszkali w nieopalonych norach, jak ja obecnie.

* * *

Miałem dzisiejszej nocy bardzo przykry sen. Zdawało mi się, że mnie ktoś wypędził w bezkresną krainę lodów, w której zbłądziłem i kostniejąc, wydobywałem z siebie resztki sił, by znaleźć drogę. Nagle pojawił się przedemną, zaszyty cały w skórę Eskimos, z twarzą podobną do tułtejszego garsona i zaprowadził mnie do tego pokoiku, gdzie mi przeznaczono obecnie mieszkać.

— Czego pan tu szuka? — pytał mnie — tu jest biegun północny...

Niežnośny Eskimos znikł, jakby się zapadł pod śnieg, a natomiast ujrzałem pędzącą ku mnie na saneczkach, zaprzeczonych w reny, Wandę. Cała ubrana w gronostaje, rzuciła się ku mnie z zamiarem rozszarpania mnie. Przypatrzyłem się jej bliżej. To nie była ona, lecz niedźwiedzica polarna. Ostre swoje pazury wpiła w me ciało, jak sęp w swą ofiarę. Widzę strugi krwi na śnieżnej bieli... Począłem krzyczeć głośno o pomoc, podczas gdy ona śmiała się szatańsko.

Zbudziłem się. Czoło miałem pokryte zimnymi kroplami potu.

* * *

Udałem się wczesnym rankiem pod drzwi swej pani i gdy garson nadniósł kawę, odebrałem mu ją i zaniósłem do pokoju. Kończyła właśnie toaletę i wyglądała wspaniale, świeża i rumiana. Powitała mnie miłym uśmiechem, a gdy się chciałem oddalić, zatrzymała mnie.

— Niech Grzegorz zje prędko śniadanie — ozwała się — pójdziemy zaraz szukać mieszkania, bo niepodobna nam mieszkać w hotelu i krępować się tak nieznośnie. Jeżeli bowiem rozmawiam z tobą nieco dłużej, to mogą podejrzывать, że Rosyanka utrzymuje stosunki miłosne ze swoim lokajem.

W pół godziny później wyszliśmy na miasto. Wanda w jesiennym kostymie i czapce kozackiej, ja w stroju krakowskim. Szedłem za nią jakie dziesięć kroków i starałem się mieć jak najpoważniejszą minę, chociaż zdawało mi się co chwila, że parsknę szalonym śmiechem. Znaleźliśmy prawie na każdym domu tablice z napisem: „Cammere annobiliate“.

Wanda posyłała mnie zawsze na górę i gdy jej oznajmiałem, że mieszkanie mogłoby jej odpowiadać, udała się sama na miejsce, niestety skręciła noskiem niezadowolona i musieliśmy szukać dalej, aż do południa. Byłem głodny jak chart i zziębnięty z powodu ciągłego biegania po schodach.

Wanda była bardzo zła, że nic odpowiedniego nie można było znaleźć. Nagle jednak rozchmurzyło się jej czoło i ozwała się do mnie:

— Ach, jak ty, Sewerynie, grasz przecudnie swą rolę. Doprawdy obawiam się, że nie zdołam się opanować, nie wytrzymam dłużej. Wstąpmy do jakiego domu, niech cię uściskam.

— Ależ łaskawa pani.

— Grzegorz! — odparła tonem istotnego despotyzmu i weszła do pierwszej z brzegu bramy, a następnie poczęła się wspinać po ciemnych schodach, a ja za nią. Nagle odwróciła się ku mnie, objęła mnie w pół i poczęła całować.

— Żebyś ty wiedział, Sewerynie, jak jesteś niebezpieczny w tej roli niewolnika. Nie wyobrażałam sobie tego wcale i teraz obawiam się zupełnie seryo, ażeby się w tobie nie zakochać po raz drugi.

— Jakto, czy mnie przestałaś kochać? — zapytałam wielce tą uwagą zaniepokojony.

Potrząsnęła głową i poczęła mnie znowu obsypywać pocałunkami.

Wróciliśmy do hotelu na drugie śniadanie. Pani moja rozkazała, abym zjadł prędko, bo niema czasu.

Oczywiście, ja sługa, nie mogłem być tak prędko obsłużony, jak ona — wielka pani. Musiałem tedy dość długo czekać, nim podano mi befsztyk. Ledwie jednak podniosłem do ust pierwszy kęs, zjawia się garson i rozkazuje po aktorsku:

— Madame woła — natychmiast!

Z bolem serca pożegnałem się ze smacznym befsztykiem, chwyciłem czapkę i wybiegłem za Wandą, która czekała na mnie na ulicy.

— Nie wyobrażałem sobie, że jaśnie pani będzie do tego stopnia okrutną, iż nawet nieda mi śniadania przekonać — zwróciłem się do niej z wymówką.

Roześmiała się z tego serdecznie.

— Myślałam, żeś już gotów. Zresztą nic się znowu nadzwyczajnego nie stało. Człowiek jest stworzony do cierpień, zwłaszcza taki człowiek, jak ty. Męczennicy na przykład nie wiedzieli wcale, co to jest befsztyk.

Nie miałem co na to odpowiedzieć.

— Wiesz co, mnie się zdaje, że my wcale nie znajdziemy mieszkania w mieście. Bardzo jest trudno znaleźć całe, zamknięte dla siebie piętro, gdzieby można być zupełnie swobodnym, a nasz fantastyczny stosunek bezwarunkowo tego wymaga. Wolę więc wynająć całą willę — zobaczysz i zdumiejesz się. Pozwalam ci teraz, byś wrócił dokończyć śniadania i potem rozejrzał się po mieście. Nie wrócę do domu przed wieczorem. Później zaś, gdybyś był mi potrzebny, każę cię zawołać.

* * *

Zjadłem nareszcie wystygnięty befsztyk i poszedłem oglądać miasto. Zwiedziłem przedewszystkiem katedrę,

Palazzo Vecchio, Loggia i Lanei i następnie stałem długo nad Arnem, patrząc na to piękne starożytne miasto, którego okrągłe kopuły gmachów i bystre wieżycy zarysowały się ostro na tle błękitnego nieba. Po przez wspaniałą, żółto zabarwioną rzekę, rozrzucono prześliczne łuki mostów, upiększające znakomicie ogólny widok. Wokół zielone wzgórza, pokryte gajami cyprysowymi, a w obwodzie daleko błyszczą w słońcu stylowe wille zamiejskie i samotne klasztory i kaplice.

Świat tu zupełnie inny niż u nas. Tu wre wszystko, kipi, śmieje się — cieszy. Nawet przyroda sama jest uśmiechnięta, jak roztrzepane dziewczę, kapryśna i płocha, pozbawiona smętnej powagi i zadumy.

A ludzie również nie są tak poważni i smutni, jak tam, poza łańcuchami Alp i Karpat na północy w rodzinnej mojej ziemi. Zdaje się, że oni mniej myślą niż my, mniej cierpią i wyglądają jakby byli w zupełności szczęśliwi.

Twierdzą nawet, że na Południu umiera się wcześniej i łatwiej. Pojmuję teraz, że niema róż bez kolców i piękna bez stron ujemnych.

Wanda znalazła prześliczną willę na wzgórkach po lewym brzegu rzeki Arno naprzeciw Cascino i wynajęła ją na całą zimę. Willa ta stoi w pięknym ogródku z drzew bobkowych, klombami kwiatów i precudownymi grządkami karrellii — zbudowana w formie czworokąta i posiada jedno tylko piętro. Po lewej stronie biegnie wzdłuż całego budynku weranda z kamiennymi schodami na ogród, a na skrzydłach oraz gzymsach pomieszczono mnóstwo posążków i figurynek. Stąd prowadzą drzwi do łazienek, gdzie znajduje się wspaniały marmurowy basen z wodotryskiem w środku.

Wanda zajęła całe piętro. Dla mnie przeznaczyła pokój w parterze bardzo ładny i obszerny, zaopatrzony nawet w staroświecki kominek.

Rozejrzałem się w ogrodzie i odkryłem w jednym z zakątków rodzaj miniaturowego świątyni, do którego drzwi były zamknięte na klucz. Zajrzałem przez szparę do wnętrza... i — ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem tam na piedestale marmurowym posąg bogini miłości.

Wstrząsnąłem się cały od grozy. Zdaje mi się, że słyszę jej słowa:

— Tyś to? Oczekiwałam cię tak długo!...

* * *

Wieczór. Miluchna młoda pokojóweczka wzywa mnie, abym się jawił przed swoją panią. Biegnę po szerokich marmurowych schodach na górę i przebiegłszy wspaniale urządzony salon, pukam do drzwi, prowadzących do jej apartamentów sypialnych. Przepych, jaki wokoło się roztacza onieśmiela mnie. Pukam tedy ostrożnie, jakbym się obawiał, i czekam dłuższą chwilę. Zdaje mi się, że stoję u drzwi sali tronowej Katarzyny „Wielkiej“ i że za chwilę ujrzę zieloną wstęgę, pełną orderów, na obnażonej jej piersi.

Po niejakiem czasie zapukałem ponownie. Wanda otwarła niecierpliwie drzwi.

— Dlaczego tak późno — wrzasnęła.

— Czekałem przy drzwiach, bo zdaje mi się nie słyszałaś pukania — odparłem, drżąc cały z obawy.

Nie odpowiedziała na to nic, tylko ujęła mnie pod ramię i odprowadziła do pokoju, urządzonego z istic wschodnim przepychem. Tapety, firanki, portyery, dywany, meble, pościel — wszystko lśniło od bogactwa i przepychu. Na jednej ze ścian znajdował się olbrzymi obraz przedstawiający Samsona i Dalilę.

Wanda miała na sobie atłasowy szlafrok, który uwydatniał linie jej postaci, czyniąc wrażenie greckiego posągu. Rude włosy, opadające zwojami w pełnym nieładzie na ramiona nadawały jej twarzy dziwnego blasku, a sznur pereł na szyi lśnił, jak rosa w majowie słońcu. Przez ramię przerzuciła gronostajowy szal.

Wenus w gronostajach — pomyślałem, podczas gdy pociągnęła mnie ku sobie w namiętny szalony uścisk. Nie byłem zdolny wymówić ani jednego słowa, bo mi się zdawało, że to nie rzeczywistość, lecz najbardziej skomplikowany sen młodości.

— Kochasz mnie jeszcze? — zapytała przytykając oczy z nadmiaru rozkoszy.

— I ty o to jeszcze pytasz?

— A czy przypominasz ty sobie swoją przysięgę —

ozwała się z tajemniczym uśmiechem na ustach — właśnie teraz przygotowałam już wszystko i zapytuję cię jeszcze raz, czy naprawdę masz dobrą i nieprzymuszoną wolę być moim niewolnikiem?

— Czy może okazałem czem, że nie chcę?

— Nie podpisałeś jeszcze kontraktu.

— Kontraktu? Jakiego?

— Ah, jak widzę zapomniałeś zupełnie — zresztą mniejsza o to.

— Ależ Wando, wiesz przecie, że poświęciłem się zupełnie dla ciebie i rób ze mną, co chcesz, możesz mi nawet życie odebrać.

— Jakże jesteś mi drogi w tej chwili, jak miły i kochany... ty, ty, złoto moje, moje skarby...

— Gdzież ten dokument — przerwałem jej — pokaz.

— Tu go mam — odpowiedziała, wyjmując papier z za gorsu i oddając mi go do rąk. — Ponieważ zaś postanowiłeś oddać mi się zupełnie, zaprzedać się mnie bez żadnych zastrzeżeń, a nawet dajesz mi prawo swego życia lub śmierci, więc ułożyłam inny dokument sama.

— Pokaż!

Odebrałem pismo i począłem je czytać, podczas gdy Wanda przysunęła pióro i atrament, a następnie oparła się na mnie i czytała razem ze mną przez ramię.

„Konrakt, który między p. Wandą Dunajew a panem Sewerynem Tollmanem w następującej osnowie zawarty został.

Pan Seweryn Tollman przestaje z dniem dzisiejszym być narzeczonym p. Wandy Dunajew i zrzeka się wszelkich praw oblubieńca. Równocześnie obowiązuje się słowem honoru być pomienionej pani niewolnikiem tak długo, dopóki go sama nie zwolni. Jako niewolnik i sługa pani Dunajew przyjmuje imię Grzegorza i obowiązuje się spełnić jej każde życzenie, wykonać jej każdy rozkaz, a każdą oznakę jej przychylności uważać jako nadzwyczajną łaskę.

P. Wanda Dunajew ma prawo nietylko karania go za przewinienia choćby najbłahsze, ale wolno jej też maltretować go i dręczyć stosownie do kaprysu, a nawet odebrać mu życie, gdyby jej się tak podobało — słowem jest on jej nieograniczoną własnością.

Gdyby pani Wanda Dunajew wróciła panu Sewerynowi Tollmanowi wolność, nie wolno temuż nigdy i ni-

komu opowiadać, co przecierpiał i przeszedł, a w szczególności nie wolno mu się mścić.

Pani Wanda Dunajew przyrzeka o ile możności jak najczęściej ukazywać mu się w płaszczu gronostajowym szczególnie od chwili, gdy do swego niewolnika zapala nienawiścią i okrucieństwem.

Na dokumencie była data dzisiejsza.

Drugi dokument, zredagowany przez nią, był znacznie krótszy i opiewał:

„Zniechęcony do świata od szeregu lat odebrałem sobie życie własną ręką“.

Daty na tym świstku nie było.

Ogarnęła mnie zgroza. Jeszcze był czas wydobyć się z sieci, w którą sam dobrowolnie i haniebnie się wplątałem, niestety demon jakiś opętał mnie w zupełności. Widocznie był to dyabeł Mefistofel, albo tylko... piękna kobieta, która oparła się na moich plecach jak zmora całym swoim ciężarem.

— Ten drugi świstek — ozwała się — musisz własnoręcznie przepisać, aby na wypadek, nie zwrócono na mnie jakiegokolwiek podejrzania. Co do kontraktu, to oczywiście przepisywać go niema potrzeby.

Przepisałem prędko w kilku wierszach treść karty, oznajmiającej, że popełniłem własnowolnie samobójstwo i oddałem go Wandzie. Przeczytała pismo i położyła na stole, uśmiechając się zdradziecko.

— No, a teraz będziesz miał odwagę podpisać tamten cyrograf? — zapytała mnie szyderczo, ciągle z uśmiechem na różowych ustach.

Wziąłem pióro do ręki.

— Zaczekaj, naprzód ja — mówiła — tobie drżą ręce. Czy się tak bardzo lękasz własnego szczęścia?

Odebrała odemnie papier i pióro, a ja stałem za nią walcząc z sobą niepomiernie. Nagle wpadł mi w oko olbrzymi obraz, piękne dzieło szkoły włoskiej, na którym namalowana była półnaga Dalila, leżąca na wzorzystym kobiercu. Z takim samym prawie uśmiechem jak Wanda, pochylała się w kierunku Samsona, którego Filistyni związali i rozciągnęli na ziemi. Co za płomień w jej oczach, co za szatańska przebiegłość w uśmiechu, jakim darzy osłupiałego Samsona, który patrzy z lubością na nią

w ostatniej chwili, zanim mu srodzy wrogowie^wwwiercą rozpalone żelazo w oczy...

— No — straciłeś wszystko, co miałeś, ale mimo to jeszcze furtka ratunku. Ostrzegam cię, żeś mnie jeszcze nie poznał, kochanie moje...

Spojrzałem na dokument i spostrzegłem dopiero co nakreślone jej imię i nazwisko wielkimi kształtnymi literami. Raz jeszcze popatrzyłem w jej tkliwe, błyszczące oczy, wzięłem pióro do ręki i podpisałem się szybko.

— Drżałeś ogromnie przyjacielu — jeśli chcesz, to ci pomogę podpisać się na tym drugim świstku. Daj rękę.

Włożyła mi przemocą pióro do ręki i wodziła nią tak, że wreszcie wyszło z pod pióra całe moje imię i nazwisko. Teraz zabrała oba papiery i schowała je do szuflady w stoliku u wezłowania otomany.

— Tak. A teraz oddaj swój paszport i pieniądze.

Wyjąłem portfel z paszportem i całym zapasem gotówki i oddałem jej. Popatrzyła do wnętrza i następnie schowała je do tej samej szufladki.

Ukląknę teraz u jej stóp w nadziei, że mnie obdarzy pieśzcotami — w tem odtrąciła mnie brutalnie i poruszyła dzwonkiem, na którego dźwięk wbiegły do pokoju trzy murzynki, czarne, jak wykrojone z hebanu, ubrane w czerwone szaty i rzuciły się, by mnie związać jak barana.

Pojałem zupełnie swoje położenie i chciałem się podnieść, gdy nagle surowy, pioronujący wzrok mojej bogini jakby mnie przygwoździł. Anim się spostrzegł, kiedy krępe murzynki ubezwładniły mnie, związały ręce i nogi.

— Podaj mi bat Heydee — rozkazała Wanda jednej z niewolnic, z uwagi godnym spokojem i zimną krwią.

Murzynka wypełniła rozkaz w okamgnieniu, podając na klęczkach bat srogiej władczyni.

— Zdejm ze mnie futro i podaj mi szal gronostajowy — rozkazywała dalej, a murzynka uwijała się jak łasica zwinnie i zgrabnie.

— Uwiążcie go tu do słupa — brzmiał głos kobiety, otulającej się w bufiaste futro.

Murzynki przymocowały mnie wpół do słupa, który podpierał baldachim nad ozdobnym łóżkiem, urządzonem w stylu starowłoskim, poczem zniknęły wszystkie jakby się ziemia pod niemi rozstąpiła.

Wanda podeszła do mnie szybko, roztaczając atłasową suknię jak pawicą ogon. Rude włosy zda się wydawały z siebie iskry. Chwyliła bat, oparła jedną rękę na biodrze i pozostając w tej pozycji poczęła się śmiać.

— Skończyła się między nami zabawka i gra w ciuciubabkę, teraz nastąpi zupełna powaga — ozwała się zimno, przez zaciśnięte zęby. — Oddałeś się sam w moje ręce bez zastrzeżeń, wykorzystuję to i czynię zadość twoim pragnieniom z rozkoszą, której nie znałam, a którą ty sam mi odkryłeś. Otóż nie jesteś już teraz moim kochankiem, lecz niewolnikiem i poznasz kim ja jestem. Przedewszystkiem otrzymasz plagi mimo żeś na nie nie zasłużył, ażebyś pamiętał, co cię czeka, jeżeli będziesz w czemkolwiek niepostuszny lub krnąbrny.

Z dziką namietnością chwyciła bat i poczęła mnie nim okładać z całej siły.

— No, i jakże ci się podoba?... Przyjemne, co?...

Milczałem, zacisnąwszy zęby, aby nie krzyczeć i nie błagać jej o litość. Jedno uderzenie skierowane było na moją twarz, z której trysła krew...

Oprawczyni zmęczyła się wreszcie, odrzuciła w kąk narzędzie chłosty i opadła na otomanę, dzwoniąc przytem na służbę.

Do pokoju wpadły murzynki.

— Rozwiążcie go!

Gdy mnie odwiązały od słupa padłem na podłogę jak drewno. Czarne niewiasty śmiały się, ukazując białe zęby jak kreda.

— Rozwiążcie mu ręce i nogi.

Uwolniono mnie z więzów i mogłem się nareszcie podnieść.

— Niech Grzegorz przyjdzie tu.

Zbliżyłem się ku niej, jak pies, podziwiając jej przewrotność, oraz grozę prawdziwej tyranicy.

— Jeszcze jeden krok — rozkazała dalej. — Na kolana! ucałuj moją stopę...

Wyciągnęła z pod atłasowej sukni zgrabną, drobną nóżkę, a ja skończony osioł i głupiec spełniłem i ten jej rozkaz.

— Grzegorz nie będzie mnie teraz widział przez cały miesiąc — odezwała się surowo — a to w tym celu, ażebyś mi była obcą, a ty żebyś mógł łatwiej spełniać

swe obowiązki. Przez ten czas będziesz zajęty w ogrodzie. A teraz precz mi z oczu!

* * *

Miesiąc strasznej monotonii wśród ciężkiej pospolitej pracy i bezdennej tęsknoty do ukochanej kobiety-szatana, to zda się, wieczność cała.

Przydzielono mnie do pomocy ogrodnikowi. Pomagam mu oczyszczać drzewa, kopać grządki, grodzić płoty, podlewać kwiaty; żywię się tem samym co i on, śpię z nim na barłogu w jednej izdebce. Wstaję równo ze dniem i kładę się spać po zachodzie słońca. Od czasu tylko do czasu dochodzą mnie słuchy, co się dzieje w willi. Moja pani otacza się rojem wielbicieli, raz nawet aż do ogrodu doleciał odgłos jej szatańskiego śmiechu w salonie.

Jest mi naprawdę głupio. Nieraz pytam sam siebie, czy istotnie żyję jeszcze na tym świecie, czy też odbywam jakąś karę poza grobem.

Pojutrze kończy się miesiąc. Co ona teraz ze mną zrobi? A może zapomniała o mnie i będę zmuszony do końca życia grodzić płoty i wić bukiety?

* * *

Przyszedł pisemny rozkaz:

„Grzegorz ma być od dziś przydzielony do moich osobistych posług.

Wanda Dunajew“.

* * *

Na drugi dzień rano opuściłem domek w ogródku i przeniósłem się do gmachu. Z bijącym sercem wszedłem do sypialni rozpalić ogień na kominku. Jest jeszcze trochę ciemno.

— Czy to ty, Grzegorzu? — zadźwięczał jej głos, tak dla mnie drogi, jej samej nie mogłem widzieć, bo była zasłonięta w łóżku portyerami.

— Tak, to ja, jasnie pani.

— Która godzina?

— Dziewiąta.

— Sniadanie!

Przynoszę na tacy kawę i klękam przed łóżkiem.

— Kawa, proszę jaśnie pani.

Wanda odsunęła portyere. Spojrzałem na nią zdziwiony niepomiernie. Głowa jej w obramowaniu rozwichrzonych włosów na tle białych poduszek i koronek wydała mi się jakby nie ta sama. Rysy straciły dawną miękkość, zaostrzyły się, przeciągły. W wyrazie oczu znużenie, czy przesyt.

A może ona zawsze tem się odznaczała, a ja tylko w zaślepieniu tego nie spostrzegłem?

Obrzuciła mnie spojrzeniem zimnem i obojętnem z pewnym tylko odcieniem jakiegoś współczucia. W tej chwili wydaje mi się piękną nieskończenie i porywającą aż do szału. Krew mi uderza do głowy, a ręce poczynają tak drżeć, że nie mogę w nich tacy utrzymać. Zauważyła to i sięgła po szpicrutę leżącą na szafce nocnej u wezglowia.

— Jesteś niezdarny — wykrztusiła, nachmurzając czoło.

Spuściłem wzrok, jak zażenowane dziecko, trzymam tacę tak silnie, jak tylko mogę, podczas gdy ona pręży się pod puszystym okryciem i wreszcie bierze filiżankę.

* * *

Dzwoniła. Jawię się natychmiast.

— List do księcia Corsini.

Biegnę do miasta i oddaję list księciu. Jestto młody, przystojny mężczyzna, o iskrzących, czarnych oczach, i, oniemiały z zazdrości, przynoszę jej odpowiedź.

— Co tobie jest? — pyta mnie jakby od niechcienia — pobladeś tak mocno...

— Nie, jaśnie pani. Zmęczyłem się pospiesznym chodem.

* * *

Księżę był na śniadaniu. Zajął miejsce u jej boku, podczas gdy ja musiałem usługiwać obojgu. Śmiali się, żartowali, nie krępując się mną zupełnie, jakby mnie na świecie nie było, jakbym przedstawiał manekina bez życia

i duszy. W pewnej chwili pociemniało mi w oczach. Nalewając jej czerwonego bordońskiego wina do kieliszka splamiłem jej suknię.

— Ach to kolek z płotu — krzyknęła, uderzając mnie w twarz, a księżę zanosił się od śmiechu.

* * *

Po śniadaniu wybrała się na przejażdżkę w zgrabnym wózku, zaprzągniętym w jednego konika angielskiej rasy, którym sama powozi, a ja umieściłem się z tyłu na koziołku i przypatruję się, z jaką gracyą moja pani uśmiecha się do młodych mężczyzn, którzy z daleka jej się kłaniają.

Gdy jej pomagam zsiąść, opiera się na mem ramieniu i wtedy doznaję dziwnego wstrząśnienia, coś jakby prąd elektryczny przebiegł przez moje członki od stóp do głów.

* * *

Na obiad, który odbywa się o szóstej wieczorem, zaprosiła dziś nie wielkie towarzystwo, złożone z dam i mężczyzn. Usługiwałem, i tym razem nie splamiłem już winem obrusa. Kara ma przecież to dobrego do siebie, że może człowieka wyleczyć i nauczyć go zręczności.

* * *

Po obiedzie wybraliśmy się do teatru. Była ubrana w czarną atlasową suknię, we włosy wpięła pęk róż, a na ramiona zarzuciła gronostajowe boa. Spojrzałem na nią z dołu, gdy ze schodów zstępowała i omal nie krzyknąłem z zachwytu. Otworzyłem jej drzwiczki do karety i wyskoczyłem na kozieł, by przed teatrem znowu usługiwać jej przy wysiadaniu i wchodzeniu do łoży. Całe cztery godziny czekałem w korytarzu, podczas gdy ona po każdym antrakcie przyjmowała wizyty najdostojniejszej młodzieży. To było dla mnie okropne!

* * *

Było już daleko po północy, gdy raz jeszcze odezwał się dzwonek z pokoju mojej pani.

— Roznieć ogień!

A gdy na kominku zaczęły polana trzaskać:

— Samowar!

Wszedłem z herbatą właśnie w chwili, gdy się roz-bierała przy pomocy murzynki i była w kompletnym negliżu.

— Podaj mi szlafrok — ozwała się po wyjściu pokojówki, wyciągając się śpiąco.

Przynoszę jej szlafrok i pomagam przy ubieraniu się, poczem ona rzuciła się na otomanę.

— Zdejm mi buciki i podaj mi pantofelki pokojowe — wycodziła przez zęby na pół śpiąco...

Kłęcząc, ściagam jej z nóg trzewiki z pewną trudnością, bo ciasne.

— Prędko — syknęła — nacisnąłeś mi nagniotek cymbale — uderzyła mnie szpicrutą. To wystarczyło.

— A teraz precz! — co łącznie z kopnięciem oznaczało dobranoc.

* * *

Dziś była zaproszona na obiad, a ja towarzyszyłem jej jako lokaj. W przedpokoju kazała mi zdjąć z siebie wierzchnie okrycie i czekać w garderobie. Podczas gdy ona ucztowała w jasno oświetlonej sali w kole biesiadników, ja siedziałem w kącie. Od czasu do czasu dolatywały mnie tony muzyki, gdy drzwi otwarto. Kilku lokaj próbowało nawiązać ze mną rozmowę, lecz przekonawszy się, że po włosku umiem ledwie kilka wyrazów, dali mi pokój. Nareszcie zdrzemnęło mi się. Począłem śnić, że z zazdrości zamordowałem Wandę, że zasądzono mnie na śmierć i że właśnie stoję przed szubienicą w towarzystwie kata, który... zamiast mnie powiesić, wymierzył mi policzek. Otwieram oczy — to Wanda. Poczzerwieniła ze złości, że musiała sama szukać okrycia. Pomogłem jej bez szemrania przy ubieraniu, myśląc, że przecie warto usłużyć takiej pięknej kobiecie i brać od niej po twarzy. Wystarczy jako nagroda spojrzeć na nią, gdy cała w gro-

nostających i sobolach opuszcza gmach i wsiada do powozu na mojem ramieniu się opierając.

* * *

Nareszcie jeden dzień bez gości, bez teatru i towarzysztwa. Wanda siedzi na terasie i czyta, nie zwracając wcale uwagi na mnie. Z nastaniem zmierzchu wchodzi do pokoju. Posługuję jej przy obiedzie. Siedzi sama jedna, ale dla mnie niema ani jednego słowa, ani jednego spojrzenia, nawet nie zdradza ochoty wymierzenia mi policzka!

Omam nie wybuchnę płaczem, że ona mnie tak lekceważy i nawet mnie dręczyć niema ochoty.

Przed udaniem się do łóżka wzywają mnie znowu.

— Będiesz dziś spał w moim pokoju, bo miałam zeszłej nocy nieprzyjemne sny i boję się sama. Weź sobie poduszkę z otomany i połóż się na futrze niedźwiedziem przed łóżkiem.

Wydawszy to polecenie zgasiła światło, a tylko lampka nocna, błyszcząca u sufitu, słabo oświetlała to uroczyste zacisze.

— Leż spokojnie, żebyś mnie nie obudził — ozwała się, włączając do łóżka.

Uczyniłem wedle rozkazu, ale długo w noc nie mogłem zasnąć. Piękna kobieta, śpiąca tuż obok mnie na wznak, z ramionami pod głową, nie mogła mi zejść z myśli. Wsłuchiwałem się w miarowy jej oddech i każdego razu, gdy się tylko poruszała, podnosiłem głowę ostrożnie, czy nie żąda czego odemnie. Nie potrzebowała jednak przez całą noc niczego. A zatem mam dla niej tylko taką wartość, jak ta lampka nocna, albo rewolwer zawieszony nad łóżkiem.

* * *

Czy ja jestem szalony, czy ona? Czy ona to wszystko obmyśliła sama w swoim kobiecym mózgu, aby mnie do tego stopnia opanować i waryackie moje zachcianki w czyn wprowadzić, czy też istotnie jest to natura Nerona, lubująca się w dręczeniu drugich i deptaniu po ich grzbiecie bezkarnie i srodze.

Gdy jej przyniosłem rano kawę do łóżka, położyła mi rękę na ramieniu i wpatrzyła się we mnie badawczo.

— Ach jakże piękne masz oczy, nie zauważyłam tego dotychczas — szepnęła — a może one tak wypiękniały, od chwili, gdy zacząłeś cierpieć? A może ty naprawdę jesteś nieszczęśliwy?

Nie odpowiedziałem na to nic.

— Sewerynie, czy ty mnie mimo wszystko kochasz jeszcze!? — zawołała nagle tonem zdradzającym namietność — czy ty mnie wogóle jeszcze kochać możesz?

Przyciągnęła mnie ku sobie tak gwałtownie, że wypadła mi z rąk taca z filiżankami i kawa wylała się na dywan.

— Wando, moja droga Wando — wypowiedziałem bezwiednie, uściskując ją z całych sił i obsypując powodzią pocałunków. — Taka już moja dola, że kocham cię coraz więcej, coraz namietniej, mimo wszystkie okrucieństwa z twojej strony, mimo zdrady; przeczuwam, że w końcu umrę z nadmiaru ukochania i zazdrości.

— Ależ Sewerynie, jam cię wcale nie zdradziła.

— Nie? Przez litość Wando, nie żartuj aż do tego stopnia. Przecie sam nosiłem list do księcia.

• — To było tylko zaproszenie na śniadanie, nic więcej.

— Więc od czasu, jak jesteśmy we Florencji...

— Zachowałam ci najzupełniejszą wierność, przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, że nie kłamię. To, co robiłam było tylko wybiegiem, aby ziszczyć twoje marzenia w zupełności... Ale ja muszę sobie poszukać wielbiciela, bo się obawiam, abys mi w końcu nie czynił wyrzutów, że byłam za mało bezlitosną, ty mój piękny, kochany... niewolniku. Dziś jednak możesz być dla mnie znowu Sewerynem i kochankiem. Ubrania twego nie darowałam kelnerowi we Wiedniu. Znajdziesz je w pace na strychu. Możesz je ubrać i być tym samym, co ongiś tam w miejscowości karpackiej, gdzieśmy się tak sielankowo kochali. Zapomnij o wszystkim, co się stało od tego czasu, co ci nie przyjdzie trudno, bo zcałuję z twego czoła wszystkie smutki i troski.

Mówiła to pieszczołliwie, słodko, głaszcząc mnie i całując, jak dziecko, poczem nagle ozwała się:

— No idź, przebierz się, bo muszę wstać i ubrać się. Powróciwszy zastałam ją już ubraną w biały atlasowy

szlafrok z gronostajowemi wypustkami. Włosy upięła bogato wysadzonym dyamentami dyademem. W tej chwili przyszła mi na myśl Katarzyna II., ale ona nie dała mi wiele czasu do rozmyślań. Pociągnęła mnie ku sobie na otomanę. Nie była wcale surowa, ani gniewna. Kazała mi przeczytać najnowsze poezye Lermontowa, pokazywała mi ilustracye najnowszych pism i tygodników, tudzież nowości literackie ostatniej doby. Oczywiście, nie szczędziła mi przytem najwyszukańszych pieszczot.

— No, czy jesteś nareszcie szczęśliwy?

— Jeszcze nie zupełnie — odparłem.

Wówczas odchyliła rąbek gronostajowy, ukazując marmurowej białości pierś, ja jednak okryłem ją natychmiast.

— Doprowadzasz mnie do szału — zauważyłem.

— Więc szalej... wolno ci.

Wpiłem się jak żmija w jej białą szyję, zapominając się zupełnie, gdy w tem ozwała się raz jeszcze:

— A teraz jesteś szczęśliwy?

— Nieskończenie.

Ledwie przebrzmiał dźwięk tego słowa, wybuchnęła kaskadą szatańskiego śmiechu.

— Śniłeś ongiś, że największem twojem szczęściem będą cierpienia które ci zadam, a teraz twierdzisz zupełnie co innego, nędzny człowieku, głupcze skończony. Myślisz, że będę twoją kochanką? Na kolana przedemną! — No!

Zsunąłem się na klęczki i począłem patrzeć na nią błagalnie, jak pies.

— Widzisz głupcze, ja się nudzę, strasznie się nudzę, a ty nadajesz się dla mnie do rozrywki na chwilę, gdy mnie ku temu najdzie ochota. Nie patrz na mnie tak — dodała, kopiąc mnie nogą.

— Jesteś właśnie tem, czem chcę, co dla mnie wygodne — jesteś... zwierzęciem, nie — jesteś rzeczą.

Zadzwońiła i w tej chwili zjawiły się trzy czarne niewiasty.

— Zwiążcie go.

Nie próbowałem nawet stawiać oporu. Czarne bestye wyprowadziły mnie wśród chichotu w głąb ogrodu, gdzie na zboczu pomiędzy rzędami winogrodu uprawiano grunt pod kukurydzą. Na końcu grząd leżał pług. Czarne baby zaprzęły mnie do niego, bym ciągnął skiby, aby same

mniej miały do kopania. Niebawem pojawiła się i Wanda i przyłączyła się do swoich czarnych niewolnic, popędzając mnie co sił, jakbym był najzwyklejszą szkapą ruskiego chłopca z Podola, albo, co jeszcze gorsze, najpospolitszym w świecie osłem.

* * *

Gdy następnego dnia usługiwałem jej przy obiedzie, zagadnęła mnie słodziutko :

— Przynies drugie nakrycie, zjesz ze mną obiad razem — a gdy zająłem miejsce naprzeciw niej: — Nie tam, tu całkiem blisko przy mnie.

Jest w najlepszym humorze. Nalewa mi sama zupy, swoją łyżką wykrada mi kęski z mego talerza, lub wreszcie kładzie głowę na stole i kokietuje mnie. Na nieszczęście pojawia się Heydée, na której zatrzymałem nieco dłużej wzrok, gdy podawała mi potrawę. Jej szlachetne, prawie europejskie rysy, wysoka bujna pierś, jakby z czarnego marmuru wykuta zainteresowały mnie przelotnie, co nie uszło uwagi despotycznej władczyni, i gdy tylko czarna piękność wyszła z pokoju, Wanda zerwała się dygocąc od gniewu.

— Co! Ty się poważasz w mojej obecności spoglądać na inną kobietę? W końcu ona zajmie cię więcej niż ja, bo czarna jest i trochę do dyabła podobna...

Przeląknęłam się naprawdę, bo nigdy jeszcze nie widziałem jej tak złą. Pobladła jak płótno i drżała na całym ciecie. Wenus królewska jest zazdrosna o swego niewolnika! Chwyta więc bat z kołka, uderza mię kilka razy na osłep, wreszcie przywołuje murzynki i przy ich pomocy wiąże mi ręce i spycha po schodach do ciemnego i wilgotnego lochu w piwnicy.

Ani się spostrzegłem, gdy drzwi się zatrzasnęły i zgrzytnął klucz w zamku... byłem tedy żywcem porzebany.

* * *

Leżę — nie wiem jak długo. Jestem związany, jak baran przeznaczony do noża. Bez światła, bez powietrza, bez pożywienia i bez wody, leżę na wilgotnej słomie i nie

mogę nawet zasnąć. Ona może ma zamiar zagłodzić mnie, o ile przedtem nie wyzionę ducha z zimna, które mną trzęsie, jak wiatr liściem osiny. A może to gorączka. Zdaje mi się, że teraz zaczynam nienawidzić tę kobietę.

* * *

Czerwona struga światła na ziemi, jak krew, prze-
darła się przez szparę w drzwiach, które niebawem się
otwierają, a w nich ukazują się Wanda z pochodnią w ręku,
odziana w sobolowy płaszcz.

— Żyjesz jeszcze? — pyta przyświecając z progu.

— Przychodzisz mnie zamordować odpowiedziałem
głucho.

Postąpiła o dwa kroki i jest już koło mnie, pochyla
się, bierze mą głowę w obie ręce.

— Jesteś chory, biedaku, jak złowrogo błyszczą twoje
oczy... Czy ty mię kochasz? Domagam się tego od ciebie...

I wyjmuje błyszczący sztylet, a mnie ciarki od stóp
do głowy przeszły. Zdaje mi się, że już aż teraz będzie
koniec. Ona jednak narzędziem tem przecina powróż, krę-
pujący moje ręce i nogi.

* * *

Pozwala mi teraz co wieczór po obiedzie przychodzić
i każe sobie czytać rozmaite dzieła poczem dysputujemy
na ten temat do późna w noc. Zdaje mi się, że ona zmie-
niła się nareszcie, że wstydzi się swej drapieżności, bar-
barzyństwa, jakie względem mnie stosowała tak zapamię-
tałe. Jest nader uprzejmą i słodką, a kiedy podaje mi rękę
na dobranoc, tyle z jej oczu wieje dobroci i tkliwości, że
mimowoli poczynam zapominać o wszystkich cierpieniach
i łzach.

* * *

Czytam jej „Manon Lescaut“. Odczuwa, zdaje się,
stosunek, ale nie odzywa się, tylko od czasu do czasu
wybuchając śmiechem, lub zamyka mi książkę w połowie
zdania.

— Czy jaśnie pani życzy sobie, bym dalej czytał?

— Dziś już nie, wolimy sami odegrać niektóre sceny. Mam właśnie dziś schadzke w Cascino, a pan, panie Sewerynie, będziesz mi towarzyszył.

— A może pan nie zechce?

— Pani rozkazuje...

— Nie rozkazuje, lecz proszę — rzekła tak tklawie i z takim wdziękiem, że sam szatan nie mógłby się jej oprzeć, poczem wstała i położyła ręce na moich ramionach. — Ach te oczy, te oczy, nie uwierzysz Sewerynie, jak bezgranicznie cię kocham...

— O, tak — odparłem szorstko — pani kocha mię tak ogromnie, że aż innemu schadzke wyznacza...

— Czynię to jednak w tym tylko celu, aby ciebie podrażnić — odparła z naciskiem — muszę bowiem mieć wielbiciela, aby ciebie nie stracić nigdy, bo ciebie jednego nad życie kocham — dodała, wpijając się ustami w moje usta — o, gdybym tak mogła wyssać przez pocałunki twoją duszę... Ale czas już...

Narzuciła na siebie aksamitny płaszcz, głowę owinęła w szal i wyszliśmy przez werandę na ulicę. — Grzegorz będzie powoził — ozwała się do woźnicy, który zaraz się cofnął, a ja wyskoczyłem na kozieł, chwyciłem lejce i okładając konie ze złości batem, pojechaliśmy.

W Cascino, w miejscu, gdzie kończy się główna aleja, Wanda wysiadła. Było już trochę ciemno. Po niebie płynęły rzadkie chmurki, odsłaniając z rzadka migocące gwiazdeczki. Nad brzegiem rzeki Arno stał człowiek w długim płaszczu, czy pelerynie i bandyckim kapeluszu, patrząc nieruchomo na schody. Wanda przebiegła ku niemu przez zarośla i położyła mu z nienacka rękę na ramieniu. Widziałem jeszczę jak zwrócił się do niej i ujął ją za rękę — potem zniknęli w zaroślach. Godzina strasznej męczarni, nareszcie zaszeleściło coś wśród liści. To oni wracali oboje.

Nieznamy odprowadził ją aż do karetki. W migotliwym świetle latarni ujrzałem bardzo piękną o łagodnych rysach twarz, okoloną bujnymi błęd włosami. Podała mu rękę, którą ucałował z wielkim namaszczeniem, następnie zwróciła się do mnie i w oka mgnieniu odjechaliśmy aleją, która jak zielona ściana wznosiła się wzdłuż rzeki.

*

*

*

Do furty ktoś zadzwonił. Biegnę i spostrzegam znajomą już twarz. To ów tajemniczy blondyn z Cascino.

— Kogo mam zameldować? — pytam po francusku.

Zagadnięty potrząsł głową nieco zawstydzony.

— Może pan rozumie coś niecoś po niemiecku — pyta mnie nieśmiało. — I owszem. Proszę o nazwisko.

— Ach, przepraszam. Nie mam jeszcze nazwiska. Niech pan będzie łaskaw oznajmić swej pani, że był tu pewien malarz Niemiec i prosił... Ale oto i ona sama.

Wanda wyszła właśnie na balkon i patrzyła w kierunku furtki.

— Niech Grzegorz poprosi pana do mnie — zawołała. Wskazałem malarzowi schody.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... Zajdę już sam...

Z temi słowami na ustach pobiegł po schodach, ja zostałem na dole i patrzyłem za nim z głębokim współczuciem.

Wenus złowiła jego artystyczną duszę w węzową sieć swoich rudych włosów. Będzie ją zapewne portretował i zwaryjuje.

* * *

Słoneczny, zimowy dzień. W złocistem świetle drżą listki drzew wечно świeżych i zielonych. Kamelie piętrzące się na zboczu terasy puszczaają pączki. Wanda siedzi na terasie, zajęta rysowaniem, a malarz stanął naprzeciw niej i złożony rękę wpatrzył się w nią w niemym zachwycie, jak w jakie nadziemskie zjawisko.

Ona jednak ani na niego nie spojrzy, nie raczy też zauważyć mnie, zajętego czyszczeniem ścieżki tuż obok. Robię to umyślnie, aby być w pobliżu niej i upajać się dźwiękiem jej słów, jak najpiękniejszą poezją.

* * *

Nareszcie malarz poszedł. Jest to bardzo śmiało co chce uczynić. Ale wszystko jedno. Wstępuję po schodach na werandę, staję tuż koło niej i pytam:

— Czy miłościwa pani kocha malarza?

Spojrzała na mnie jakby zdziwiona, wszelako bez gniewu, a nawet uśmiechnęła się.

— Sympatyzuję z nim — rzekła, — ale nie kocham go wcale. Nie kocham wogóle nikogo. Ciebie kochałam szalenie, namiętnie, jak tylko może kochać kobieta tego temperamentu, co ja — ale to już przeszło bezpowrotnie. Nie kocham cię już ani odrobiny. Serce moje zamarło, spopielili się wszystkie uczucia i to mnie strasznie boli, strasznie...

— Wanda — przerwałam jej dotknięty boleśnie tem wyznaniem.

— I ty również wkrótce przestaniesz mnie kochać, no i jeżeli do tego dojdzie, zwrócę ci wolność.

— W takim razie wiesz co mi pozostaje — zawołałam z rozpaczą — nie samobójstwo, nie inne żadne głupstwo, lecz mimo, że kochać mnie przestaniesz — sługą twym pozostanę nadal.

Wanda słuchała mnie z zadowoleniem, które wyraźnie można było wyczytać z jej twarzy.

— Pamiętaj jednak — zauważyła — że kochałam cię bezgranicznie, i byłam bezwzględnie despotyczną względem ciebie, aby tylko sprawić ci przyjemność i ziszczyć twoje marzenia fantastyczne i chorobliwe upodobania. W tej chwili czuję w sercu jeszcze jakąś iskierkę sympatii ku tobie, lecz gdy i ta zagaśnie — mogę być dla ciebie niebezpieczną, mogę cię zupełnie zniszczyć, rozumiesz?

— Myślałem i o tem — odparłem drżąc na całym ciele — lecz to wcale nie wpływa na moje postanowienie.

— To znaczy, że chcesz nadal cierpieć i znosić z mej ręki najokropniejsze męczarnie. A no... niech będzie.

* * *

Dzisiaj oglądałem Wenus medycyjską. Wybrałem się wcześniej do sali Trybuny, która była jeszcze prawie w mroku. Stałem długo przed rozkosznym posągim, jak zaklęty. Ze zwiedzających nie było jeszcze nikogo, nawet żadnego Anglika, mogłem więc swobodnie paść na kolana przed idealnie piękną i boską postacią i patrzeć w tę piękną pierś, dziewczęcą, rozkoszne lica z przymkniętymi na pół oczyma, na bujne włosy, z których wylaniały się dwa różki — patrzeć i upajać się, jak ongiś w dziecięcych snach.

* * *

Dzwonek.

Jest już południe, ale moja monarchini leży jeszcze w łóżku i wyciąga się, ręce założywszy na kark.

— Będę się kąpała — mówi do mnie, gdy się jawię w jej pokoju — a ty mi będziesz usługiwał. Zamknij drzwi.

Posłuchałem w milczeniu.

— Teraz zejdz do łazienek i przekonaj się, czy na dole drzwi pozamykane.

Zszedłem po kręconych schodach, które prowadziły z jej sypialni do łazienki. Nogi drżały podemną tak, że musiałem silnie trzymać się żelaznej poręczy. Przekonawszy się, że drzwi na werandę i ogród zamknięte, wróciłem na górę. Wanda siedziała teraz na łóżku z rozpuszczonymi włosami, otulona w futrzany płaszcz. Gdy się poruszyła, spostrzegłem, że oprócz płaszcza — nie miała na sobie nic... Przeraziłem się tem i wydawało mi się, że już teraz przyszedł mój koniec.

— Niech Grzegorz weźmie mię na plecy.

— Co, proszę!

— Masz mię znieść na dół na plecach, nie rozumiesz?

Przystąpiłem do łóżka tak, że mogłem ją wziąć na barki. Uchwyciłem mocno jej nogi, które mię oplątały i poniosłem ją po krętych schodach, na dół, zstępując z wielką ostrożnością, by nie paść i nie uszkodzić drogiego ciężaru.

Łazienka składała się z niewielkiej okrągłej ubikacji, oświetlonej z góry przez różowe szyby kopuły. Dwie olbrzymie palmy zasłaniały swemi liśćmi wyslaną kobiercami i poduszkami otomanę. Wyłożone dywanami perskimi schody prowadziły stąd do marmurowego basenu, znajdującego się pośrodku.

— Na szafce obok łóżka leży zielona wstążka — rzekła Wanda, gdym ją zszedł z barków na otomanę — przynieś mi ją i — bat.

Przyniosłem w okamgnieniu oba przedmioty i złożyłem je u stóp mojej pani, która olbrzymią falę włosów zaplatała w warkocz, i do wiązania potrzebowała tej zielonej wstążki.

Zacząłem przygotowywać kąpiel, ale bardzo niezręcznie, bo ręce i nogi, drżąc jak w febrze, wypowiadały mi posłuszeństwo. I nie dziw. Ilekroć spjrzałem na tę ko-

bietę pól naga, osłoniętą niedbale tylko futrem, z pod którego wyglądały śnieżnej białości piersi, biodra, ramiona... uczułem w sobie taką piekielną żądzę, że wręcz zmysłów nie byłem pewien. Gdy już basen był napełniony, zakręciłem kran i zwróciłem się do niej — gdy w tem onie miałem. Ona stała przedemną bez żadnej osłony, jak owa bogini w sali Trybuny.

W tej chwili wydała mi się tak świętą, tak czystą w swej nadziemskiej piękności, że jak tam przed posągiem, padłem bezwiednie do jej stóp...

Naga piękność nie była bynajmniej groźną, ani złą. Rozbroiło mnie to zupełnie. Ona zaś powoli zstępowała po schodach do basenu. Co krok, to inna poza, inna gra linii, inny ruch mięśni. Spokojnie, z świadomością rozkoszy przypatrywałem się jej, gdy potem jak syrena rzuciła się w kryształową toń.

Ziomek jej, nihilista i estetyk, miał rację, pisząc, że rzeczywiste jabłko ma większą wartość niż namalowane. I mnie się obecnie zdaje, że żywa kobieta jest piękniejsza niż Wenus wykuta z kamienia.

Nareszcie wyszła z wody, ociekając brylantowemi kroplami, jak rusalka urocza i zimna. Okryłem ją prześcieradłem i nacierałem drżące jej ciało... poczem otuliłem ją w płaszcz.

Spoczęła na otomanie, podparła się lewą ręką. Zdało mi się, że to łabędź senny, otulający się w puszyste pierze...

Spostrzegłem dopiero teraz olbrzymie lustro weneckie na przeciwnej ścianie i krzyknąłem z przerażenia, bo spostrzegłem w niem obraz nas obojga jakby namalowany ręką geniusza. Przez chwilę ani drgnąłem, aby ten obraz fantastyczny w mistrzowskich skomponowany liniach nie prysnął, nie rozwiął się w nicość.

— Co tobie? — zapytała Wanda.

Wskazałem zwierciadło.

— Ach, obraz naprawdę wspaniały, i szkoda, że nie można go utrwalić.

— Mnie się zdaje, że to możliwe. Bo czyż najświetniejszy malarz nie byłby dumny z tego, gdybyś mu pozwoliła uwiecznić pendzlem swoją posagową postać. Już sama myśl — mówiłem dalej przypatrując się jej w zachwycie — że te wspaniałe rysy twarzy, ten płomień na-

miętności w oczach, te demoniczne włosy i posągowe linie całej postaci miałyby być dla świata przypadłe, że zniszczy je prawdopodobnie śmierć — przeraża mnie ogromnie. Musisz tedy to piękno wydrzeć tej śmierci z łupieskich rąk, tyś nie powinna, jak my, zwykli śmiertelnicy zejść z tego świata, nie zostawiwszy śladu swej nadziejskiej piękności. Obraz twój musi żyć, podczas gdy ty sama w proch się rozsypiesz, twoja piękność musi odnieść tryumf nad nieubłaganą śmiercią.

Wanda się uśmiechała na te słowa jak przez sen.

— Co za szkoda, że dzisiejsze Włochy nie posiadają ani Tycyana, ani Rafaela — ozwała się — chyba, że nasz znajomy malarz zechciałby...

Zamyśliła się na chwilę.

— Dobrze — będzie mnie portretował — dodała po namyśle — i staraniem mojem będzie, aby przy mieszanii farb, usługiwały mu amorki.

* * *

Młody malarz rozpakował swoje manatki w jej willi urządzając sobie atelier. Oplątała go w zupełności. Zaczął właśnie malować Madonnę i to Madonnę z rudymi włosami i zielonemi oczyma! Z tej rasowej bachantki brać podobieństwo do świętego obrazu, to przecie może uczynić tylko malarz... Niemiec wyzuty z wszelkiego poczucia świętości.

Malarz ten na szczęście jest jeszcze większym osłem niż ja. To tylko źle, że nasza Tytiana zawczasie odkryła osłe uszy u nas obu. Śmieje się więc z nas. Słyszę ten melodyjny szatański śmiech ciągle podczas seansu, gdy są tylko oboje, a ja zaglądam przez otwarte okno do pracowni.

— Zwaryował pan — odzywa się do malarza gromko — chce mnie pan malować jako Madonnę, ależ to świętokradztwo. Poczekaj pan, pokażę panu obraz, który sama namalowałam, a pan tylko zrobi kopię.

Wejrzała przez okno.

— Grzegorz!

Pobiegłem po schodach do atelier.

— Zaprowadź pana do łazienki, a żywo — rzuciła tonem nieodwołalnego rozkazu i wyszła szybko z ubikacji.

Gdyśmy zeszli do łazienki, ukazała się niebawem Wanda, odziana tylko w swój demoniczny płaszcz, ze szpicrutą w ręce i rozciągnęła się na otomanie, jak wówczas po kąpieli. Ja bezwiednie rzuciłem się ku niej jak wówczas, by na moim karku oparła swoją stopę.

— A teraz patrz na mnie swoim dyabelskim wzrokiem — rozkazała wywijając szpicrutą prawą ręką w powietrzu — tak, teraz już dobrze.

Malarz zbladł jak płótno. Scena zaimponowała mu niepomniernie, otworzył szeroko usta — nie był zdolny wymówić ani słowa.

— No, i jak się panu podoba moja kompozycya?

— Tak... chciałbym panią tak wymalować — szepnęła malarz takim tonem, jakby był blizkim śmierci o parę ledwie minut.

* * *

Rysunek węglem jest gotów, zarysy głowy i konturów ciała ugruntowane, demonicznie piękna jej twarz występuje bardzo wyraźnie w kilku śmiałych pociągnięciach.

Wanda zbliża się do płótna i zauważa:

— Obraz powinien na wzór szkoły włoskiej być portretem i zarazem symbolem — wyjaśnia malarz, ciągle jeszcze błady i ledwie przytomny.

— A jaki pan da napis? — zapytała. — Ale co panu jest? Czy pan chory?

— Boję się — zaciął, zająkując się i patrząc na piękną kobietę w futrze — ale mówmy o obrazie.

— Dobrze, mówmy o obrazie.

— Mam na myśli bogini miłości, która zeszła z Olimpu do swego ziemskiego oblubieńca i — aby nie skostnieć na zimnie, odziała się we futro, a stopy ogrzewa na łonie ukochanego, tego mianowicie ukochanego, którego wyczerpawszy pocałunkami — chłosta bezlitośnie, jak niewolnika, a on — on kocha ją z całym szaleństwem zmysłów, a kocha tem więcej, im srożej ona go dręczy. Obraz ten powinien nosić tytuł „Wenus w futrze“.

* * *

Malarz maluje powoli. O tyle szybko jednak wzrasta w nim namiętność ku pięknej bogini. Obawiam się, aby

sobie nie odebrał życia w przystępie szału. Ona bawi się nim bezlitośnie. Zadaje mu zagadki, których wcale rozwiązać nie może, kokietuje go, jednym słowem, doprowadza do ostateczności i to ją bawi i cieszy.

Podczas seansu chrupie cukierki, a z papieru z nich robi kulki i rzuca na niego.

— Bardzo się cieszę, że łaskawa pani jest tak dobrze usposobioną — odzywa się malarz — ale twarz pani straciła już ten wyraz, który do obrazu jest mi potrzebny.

— Co pan powiada? Brak mi wyrazu, który panu jest potrzebny? Chwilkę cierpliwości.

Poruszyła się nagle i uderzyła mnie szpicrutą. Malarz spojrział na nią ponuro. W spojrzeniu tem maluje się obok dziecięcego zdumienia, pogoda i podziw zarazem.

Oblicze Wandy odzyskuje znamiona srogości tem więcej, im srożej mnie dręczy.

— Czy posiadam już teraz ten wyraz, jakiego panu potrzeba? — pyta.

Malarz opuszcza głowę zmieszany jej zimnym, przenikliwym wzrokiem.

— Tak, wyraz jest — ale ja niestety w tej chwili nie mogę malować.

— Co? Może panu pomódz! — odparła ironicznie.

— Tak... niech... niech pani i mnie wymierzy choć jedną chłostę.

— Ależ z przyjemnością, tylko niech pan pamięta, że ja nie znam żartów.

— Ja też mówię zupełnie seryo.

— Da się pan związać?

— Dam.

Ogarnia mnie wściekłość.

* * *

Pozuje mu sama. On wykańcza rysunek głowy i ja przytem jestem zbyteczny. Mnie kazała stać w otwartych drzwiach za portyera, skąd nic nie mogę widzieć, ale słyszę wszystko.

Coś w tem jest. Może ona boi się zostać z nim sama? Doprowadziła go już do stadyum waryactwa, to prawda. A może to znowu jakiś nowy wymysł dręczenia mnie? Drzę na samą myśl o tem.

Rozmawiają ze sobą wciąż, ale on tak zniża głos, że nie rozumiem słowa. Tak samo szeptem ona mu odpowiada. Co to ma znaczyć? Czy porozumieli się oboje.

Cierpię ogromnie i obawiam się naprawdę, aby mi serce nie pękło.

Teraz ukląkł przed nią, objął ją w pól, wsadził się ustami w jej nagą pierś — a ona... ona się śmieje... Znowu ten śmiech, bardzo dobrze... Teraz słyszę wyraźnie jej głos.

— Ach! na pana potrzebny jest koniecznie... bat!

— Kobieto! Bogini! czyż nie masz zupełnie serca, czyż nie umiesz kochać — mówił malarz — nie pojmujesz wcale co znaczy kochać i tęsknić, nie możesz nawet rozumieć jak ją strasznie cierpię? Nie masz więc dla mnie odrobiny litości?

— Nie! — odrzekła dumnie i szyderczo, — ale mam... bat.

Wyciągnęła go szybko z kieszeni futra i uderzyła nim malarza w twarz. Podniósł się i usunął kilka kroków w tył.

— Może pan teraz dalej malować? — zapytała obojętnie. On nie odpowiedział jej nic, tylko zbliżył się do sztalugi i wziął do ręki pendzel i paletę.

I portret udał się wręcz wspaniale. Przedstawił on piękność i grozę tej kobiety z niezwykłą ścisłością, całym majestatem i potęgą szatanizmu.

Malarz wlał weń ogrom swej miłości i cierpień, uwielbienia i... przekleństwa...

* * *

Obecnie maluje mnie; jesteśmy sami kilka godzin dziennie. Dziś zwrócił się nagle do mnie i zapytał drżącym głosem:

— Pan kocha tę kobietę?

— Tak...

— Ja również ją kocham. — Oczy zaszyły mu łzami. Chwilę milczał i malował dalej.

— W mojej ojczyźnie jest góra w której ona mieszka — mruzczał później do siebie. — Jest to z wszelką pewnością dyablica.

* * *

Obraz jest ukończony. Chciała mu za to zapłacić wspaniałomyślnie, jak płacą królowe.

— O, pani mi już zapłaciła — powiedział z bolesnym uśmiechem, nie przyjmując pieniędzy.

Przed odejściem okazał mi w zaufaniu swą tekę. Jej głowa zdawała się być żywą, zupełnie jak w zwierciadle.

— Zabieram ze sobą tę pamiątkę — mówił — jako swą własność, której ona nie może mi odebrać, zapracowałem sobie na to dość gorzko...

* * *

— Wiesz... jest mi trochę żal tego biednego malarza — ozwała się dziś do mnie. — Obeszłam się z nim dość surowo. Udałam zanadto cnotliwą... A ty jak sądzisz?

Nie miałem odwagi odpowiedzieć.

— Ale, ale... zapomniałam, że rozmawiam ze swoim niewolnikiem... Pragnęłabym się rozerwać, zabawić i zapomnieć... Prędko, mój powóz!

* * *

Nowa fantastyczna toaleta; rosyjskie buciki z błękitno-fioletowego jedwabiu, suknia również z tej materyi, podpięta wążkami paskami, kokardkami, obcisły krótki paltocik, bogato obłożony i podszyty gronostajami. Wysoką gronostajową czapkę, z kitą czaplich piór, przytrzymywała brylantowa agrafka. Rude włosy opuściła wolno na plecy. Tak wstępuje na kozieł i powozi sama, ja zajmuję miejsce z tyłu, po za nią. Jak ona konie smaga! Mkną jak szalone...

Chce dziś wzbudzić ogólny podziw, podbić swymi wdziękami wszystkich, i to udaje się jej doskonale. Jest niebezpieczną lwicą. Kłaniają jej się z powozów, na chodnikach tworzą się grupy pieszych, którzy tylko o niej rozmawiają. Lecz nikt z nich nie zauważył ukłonu pewnego starszego kawalera.

W tem przyskoczył jakiś młody człowiek na młodym wronym koniu. Gdy zobaczył Wandę, wstrzymał konia, a następnie pozwolił mu kroczyć stępo. Już jest blisko — zatrzymał się i znowu ją wyprzedził, lecz teraz spostrze-

gła go także ona — zobaczyła lwica... lwa. Ich oczy spotkały się. Wanda nie mogła się wydrzeć z pod magicznej potęgi jego wzroku i zwróciła głowę ku niemu.

W tym momencie na pół dziwnym, a na pół zachwycającym, zda się przestało bić moje biedne serce. Ona chłonęła go oczyma, a... on był godzien tego.

Jest przecie mężczyzną pięknym. Nie, więcej, jest mężczyzną, jakiego w życiu nie widziałem. W belwederze stoi zaklęty w marmur z tymi samymi żelaznymi muskułami, ma to samo oblicze ozdobione rozwianymi puklami włosów, a nadpodziw pięknie jest mu właśnie z tem, że nie nosi brody. I gdyby miał mniej pełne biodra, możnaby myśleć, że jest przebraną kobietą. Szczególny układ ust i lwie wargi, z poza których wychylały się białe zęby i nadające tej pięknej twarzy wyrazu nieco groźnego.

Apollo, który obdarł ze skóry Marsyasa.

Nosi wysokie czarne buty, obcisłe spodnie z białej skory, krótkie futerko, podobne do tych, jakich używają włoscy oficerowie konnicy. Futerko to zrobione jest z czarnego sukna, obłożone astrachanem i gęsto sznurowane. Na czarnych, kędzierzawych włosach ma fez.

Teraz rozumiem co to jest Eros i podziwiam Sokratesa, który w przeciwieństwie do Alcybiadesa został cnotliwym...

* * *

Tak wzruszonej nie widziałem jeszcze mojej lwicy. Gdy wyskoczyła z pojazdu przed stopniami swej willi, policzki jej pałały. Przebiegła schody i rozkazującym skinieniem kazała mi iść za sobą.

Chodząc wielkimi krokami po swoim pokoju, zaczęła z pośpiechem, który mnie przestraszył:

— Musisz się dowiedzieć, kim jest mężczyzna, który był w parku, a dowiesz się dziś jeszcze... natychmiast.

— O, ten człowiek! Widziałeś go? Co powiesz o nim?

— Jest piękny — odrzekłem głucho.

— On jest tak piękny — zatrzymała się i oparła na poręczy krzesła — że to... zatamowało mi oddech.

— Pochwyciłem wrażenie, które on na ciebie wywarł — odpowiedziałem. — Moja fantazja uniosła mnie znowu w tan zawrotny — zapomniałem o sobie, lecz mogę myśleć...

— Możesz sobie myśleć, — zaśmiała się — że ten mężczyzna jest moim kochankiem, że ciebie bije, czem ci sprawia wielką rozkosz.

— Teraz idź, idź natychmiast!

* * *

Nim wieczór nadszedł, wywiedziałem się o nim bardzo wiele.

Wanda była jeszcze nierozebrana. Leżała na otomanie, z obliczem ukrytem w dłoniach. Pozwichrzone włosy podobne były do rudej grzywy lwicy.

— Jak się nazywa? — spytała z przykrym spokojem.

— Aleksander Papadopolis.

— Jest więc Grekiem.

Skinąłem głową.

— Czy młody?

— Nieco starszy od ciebie. Mówił, że kształcił się w Paryżu, a nazywają go ateistą. Walczył na Krecie przeciw Turkom i odznaczył się swą rasową nienawiścią, okrucieństwem, jak niemniej swem męstwem i walecznością.

— A więc jest mężczyzną w każdym calu — zawołała z błyszczącymi oczami.

— Obecnie przebywa we Florencyi, — ciągnął dalej — posiada olbrzymi majątek...

— O to nie pytam wcale — przerwała mi gwałtownie. — Mężczyzna ten jest niebezpieczny. Nie boisz się go? Ja drzę z obawy przed nim. Czy on ma żonę?

— Nie.

— Może kochankę?

— Także nie.

— Do którego teatru chodzi?

— Dziś wieczór jest w teatrze Nicolini, gdzie grają najslawniejsi na całą Europę artyści włoscy, genialna Virginia Marini i Salvini.

— Wiesz, postaraj się o lożę — już... natychmiast! — rozkazywała.

— Ależ pani...

— Chcesz znowu... bata?

* * *

— Możesz czekać w parterze — powiedziała, gdy położyłem jej na balustradę łoża lornetkę i afisz i podsunąłem naleźycie podnózek.

Więc stoję, choć muszę opierać się o ścianę by nie upaść z wściekłości. — Nie, wściekłość nie jest tu odpowiednim wyrazem — ja przecież czuję trwogę śmiertelną.

Widzę ją w błękitnej sukni z mory. Na nagie ramiona zarzuciła płaszcz gronostajowy. On jest naprzeciw jej łoża. Widzę jak oni się wzajemnie pozerają oczyma, czuję, że dla nich obojga nie istnieje dziś ani scena ani Salvini, ani Marini, ani publiczność, wogóle nie obchodzi ich świat cały — a ja... czem ja jestem w tej chwili?

* * *

Dziś będzie na balu u greckiego ambasadora. Czy spodziewa się ona tam go spotkać.

Zdaje mi się, że nawet wcale o tem nie myśli. Ciężka suknia jedwabna koloru zielonego morza, uwydatnia plastycznie jej boskie kształty, ukazując przepiękny biust i ramiona. We włosach, które były podobne do osobliwego płonącego węzła, tkwił biały węzeł ozdobiony trzcina zmieszana z lekko związanymi pojedynczemi pletniami, opadającami na kark. Z wyrazu jej twarzy nie można odczuć ani śladu wzruszenia, niepokoju lub gorączkowego rozdrażnienia. Jest tak spokojną, że aż krew moja krzepnie i czuję, jak pod jej spojrzeniem moje serce bić przestaje. Powoli i majestatycznie wstępuje na marmurowe schody, zrzuca swe drogocenne okrycie i kroczy niedbale do sali, wypełnionej dymem stu świec jakby srebrną mgłą.

Chwilę nie widzę jej nigdzie. Podnoszę jej futro. Nie wiem jak mi wypadło z rąk. Jeszcze jest ciepłe od jej ramion. Całuję to miejsce, a łzy napęlniają mi oczy...

* * *

· Otóż i on.

W czarnym jedwabnym surducie, wybitym bogato ciemnym sobolem, piękny, zuchwały despota, który igra z życiem ludzkim i duszą ludzką. Stoi w sali wstępnej, patrzy dumnie w koło i oczy jego spoczęły na mnie długo i nieprzyjaźnie.

Pod jego lodowem spojrzeniem, przejęła mnie znowu przerażająca trwoga śmiertelną i preczucie, że ten czło-

wiek może ją podbić, zbałamucić i ujarzmić. Zazdrościłem mu tej dzikiej męskości i wstydziłem się tego okrutnie.

Czuję się jednak upokorzony! I co jest jeszcze najhaniebniejsze: powinienem go nienawidzić, nie mogę. I nie wiem, jak to się stało — że on mnie i to, właśnie mnie wyszukał z pomiędzy gromady służby.

Skinął na mnie, rozkazującym ruchem głowy, a ja... posłuchałem go, zupełnie mimowoli.

— Odbierz odemnie futro — rozkazał spokojnie.

Drżałem na całym ciele z oburzenia, lecz posłuchałem pokornie jak... niewolnik.

* * *

Całą noc czekałem w przedpokoju, mającąc jak w gorączce. Osobliwe obrazy przesuwają się koło moich oczu. Widzę jak się spotkali... pierwsze długie spojrzenie... widzę, jak przechodzi przez salę wsparta na jego ramieniu... teraz w stanie upojenia spoczęła z przymkniętymi powiekami na jego piersi... widzę go w przybytku miłości, lecz nie jest on tam niewolnikiem. Jako pan leży na otomanie, a ona... u nóg jego. Widzę też samego siebie, obserwuję go, klęczący... Taca z herbatą chwieje się w mych rękach, a on ujmuje wtedy... bat. Teraz mówi o nim służba.

On jest mężczyzną w rodzaju kobiety. Wie, że jest piękny i stosownie do tego postępuje. Na wzór próżnej kurtyzany, zmienia toaletę cztery lub pięć razy dziennie.

W Paryżu pojawił się z początku w ubraniu kobiecym, a mężczyźni zasypywali go listami miłosnymi. Pewien sławny, włoski śpiewak, zakochał się w nim tak namiętnie, że wcisnął się do jego mieszkania, upadł przed nim na kolana i groził, iż odbierze sobie życie, gdy on go nie wystucha.

— Żałuję pana — odpowiedział on wtedy ze śmiechem — uwzględniłbym życzenie pana z przyjemnością, nie pozostaje mi jednak nic innego, jak tylko wykonać na panu wyrok śmierci, gdyż ja jestem... mężczyzną.

* * *

Sala opróżniła się już znacznie — ona jednak nie myśli o tem by udać się do domu.

Poranek wciska się już przez żaluzye.

Wreszcie szeleści jej ciężka suknia, która splywa po niej jak fala zielona. Ona idzie powoli krok za krokiem, rozmawiając z nim ciągle.

Ja, nie istnieję już dla niej na świecie. Ona nawet nie zadaje sobie trudu, by mię choć rozkazem obdarzyć.

— Płaszcz dla pani — rozkazuje on, nie myśląc naturalnie sam jej usłużyć.

W chwili, gdy zarzucam na nią płaszcz, on stoi ze skrzyżowanymi ramionami obok niej. Kiedy, klęcząc na kolanach wciągam na jej nogi futrzane buciki, ona opiera lekko rękę na jego ramieniu i pyta:

— I cóż było z lwicą?

— Skoro lwa, którego ona wybrała i z którym ona żyła, pochwycił inny — opowiadał Grek — położyła się lwica spokojnie na ziemi i przyglądała się walce. Nie pomagała mu — patrzyła również obojętnie, kiedy podszponami przeciwnika, zbuczony krwią dogorywał, wreszcie... oddała się zwycięzcy, silniejszemu, bo taką jest natura... kobieca.

Moja lwica spojrzała w tej chwili na mnie szybko lecz dziwnie. Ogarnął mię strach, lecz nie wiem dlaczego. Czerwone światło poranka, znurzyło mnie, ją i jego... we krwi.

* * *

Nie położyła się w łóżku, lecz zrzuciła tylko swą białą toaletę, rozpuściła włosy, następnie rozkazała mi zapalić i siadła przy kominku, patrząc nieruchomo w żarzący się ogień.

— Czy potrzebujesz mnie jeszcze, pani? — zapytałem, a głos odmówił mi posłuszeństwa przy ostatnich wyrazach. Wanda potrząsnęła głową.

Opuściłem pokój, przeszedłem przez galerię i usiadłem nisko na schodach wiodących do ogrodu. Od strony rzeki pociągnął chłodny wiatr, wzgórze ginęły gdzieś daleko w różowej mgle, a nad miastem z wybijającymi się wysoko okrągłymi wieżycami świątyń, unosiła się przeczysta woń wiosny.

Na błado-błękitnem niebie drżały jeszcze gdzieniegdzie gwiazdy.

Rozpiąłem surdut i przycisnąłem rozpalone czoło do marmuru. Wszystko, co przeszedłem dotąd wydało mi

się snem dziecięcym, a jednak było to prawdziwe, tak strasznie prawdziwe!...

Przeczuwałem katastrofę. Widziałem ją tak blisko siebie, że mogłem uchwycić rękami, lecz... brakowało mi odwagi. Nie przestraszyły mnie cierpienia ani krzywdy, które były mi może przeznaczone.

Obawiałem się tylko tego, że utracę tę, którą ubóstwiałem fanatycznie. A uczucie tej obawy było tak potężne, tak druzgocące, iż rozplakałem się nagle jak dziecko.

* * *

Przez cały dzień pozostała zamknięta w swoim pokoju. Usługiwała jej tylko murzynka. Lecz, gdy na bladym błękitnie zabłysła gwiazda wieczorna, widziałem ją jak szła przez ogród. Z największą ostrożnością postępowałem za nią. Zbliżała się do świątyni Wenus. Obserwowałem ją dalej cichaczem i zjrzałem przez szparę drzwi.

Wanda z rękami złożonemi jak do modlitwy, stała przed wspaniałym posągami bogini, a święty blask gwiazdy miłości rzucał nad nią błękitne promienie.

* * *

Długo w nocy zasnąć nie mogłem, ogarnęła mnie bowiem trwoga, że ją utracę, rozpacz i zwątpienie miały tak wielką moc, że uczyniły ze mnie bohatera. Zaświeciłem małą czerwoną lampkę oliwną, która wisiała przed świętym obrazem w korytarzu, i przygaszając światło ręką, kroczyłem do jej sypialni.

Lwica znalazła się wreszcie w sieci, na śmierć upolowana. Zasnawszy w swych poduszkach, leżała na wznak z zaciśniętymi kurczowo dłońmi, i oddychała ciężko. Zdawało mi się, że miała jakiś straszny sen. Usunąłem powoli rękę, a zupełnie czerwone światło padło na jej cudne oblicze.

Nie zbudziła się jednak.

Cicho postawiłem lampę na podłodze, usiadłem obok łóżka Wandy i położyłem swą głowę na jej miękkim, palającym ramieniu.

Poruszyła się, lecz i teraz nie zbudziła się jeszcze. Jak długo tak leżałem, skamieniały okropną męką wśród nocy — nie wiem.

Wreszcie pochwyciły mnie gwałtowne dreszcze i mogłem płakać... — a łzy spadały na jej ramię. Wanda drgnęła kilkakrotnie, wreszcie podniosła się, przesunęła ręką po oczach i spojrzała na mnie.

— Sewerynie! — zawołała tonem więcej przestraszonym niż gniewnym.

Nie znajdowałem żadnej odpowiedzi.

— Sewerynie — mówiła dalej z cicha, — co ci jest? Jesteś może chory?

Jej głos brzmiał tak czule, tak kochająco, że chwycił mnie jak żarzącymi kleszczami za piersi i począłem głośno szlochać.

— Sewerynie — ciągnęła znowu — ty biedny, nieszczęśliwy przyjacielu. — Przesunęła łagodnie rękę po moich włosach. — Ja cię bardzo, bardzo żałuję; nie mogę ci jednak nic pomódz, mimo najlepszych chęci nie znam żadnego lekarstwa dla ciebie.

— O! Wando, czyż musi już tak być — jęczałem w strasznym bólu.

— Cóż to, Sewerynie? O czem mówisz?

— Nie kochasz mnie więc zupełnie? — mówiłem dalej, — nie czujesz odrobiny litości dla mnie? Obcy, piękny mężczyzna, zagarnął cię już całkiem dla siebie?

— Nie mogę zaprzeczyć — odparła łagodnie po krótkiej przerwie — wyrwał on na mnie wrażenie niepojęte, wskutek którego cierpię i drżę, wrażenie takie, jakie opisać mogą tylko poeci; wrażenie, którego obraz widziałam tylko na scenie, lecz uważałam zawsze za wytwór fantazyi. O! to jest mężczyzna zupełnie jak lew, silny a piękny, dumny a przecież czuły, nie taki brutalny jak nasi mężczyźni północy. Wierz mi, Sewerynie, ubolewam nad tobą, mnie ciebie bardzo żal. Ja jednak muszę jego posiadać, co mówię? Ja muszę się jemu oddać, jeżeli tylko zechce.

— Wando, pomyśl choć o swojej czci, której dotąd przecież nie skalałaś. Jeżeli ja dla ciebie niczem już nie jestem...

— Myślę o tem — odpowiedziała — chcę być silną, jak tylko długo zdołam, chcę — ukryła zawstydzoną twarz w poduszki — pragnę być jego żoną — jeżeli on tego sobie życzy.

— Wanda! — krzyknąłem, przejęty znowu śmiertelną

trwogą, która zawsze łamała mi oddech i pozbawiała przytomności — ty chcesz zostać jego żoną, pragniesz należeć do niego na zawsze, o! nie odpychaj mnie od siebie! On ciebie nie kocha.

— Któż ci o tem mówił — zawołała gwałtownie.

— On ciebie nie kocha — mówiłem dalej namiętnie — lecz ja cię kocham, modłę się do ciebie, jestem twoim niewolnikiem, chcę się poświęcić tobie, przenieść cię na swych ramionach przez życie.

— Kto ci mówi, że on mnie nie kocha! — przerwała mi gwałtownie.

— O! bądź moją, — błagałem — bądź moją! Nie mogę żyć bez ciebie, nie mogę istnieć. Miej przecież litość, Wanda, miej litość!

Spojrzała na mnie, a było to znowu zimne, bezlitosne spojrzenie, któremu towarzyszył szyderczy śmiech.

— Mówisz przecież, że on mnie nie kocha! — rzekła drwiąco — więc dobrze, ciesz się z tego. — Zarazem odwróciła się odemnie pogardliwie na drugą stronę.

— Boże, Boże! Wanda, czyż ty nie jesteś kobietą, nie masz zupełnie serca! — zawołałem, podczas gdy piersi moje falowały jak w konwulsjach.

— Wiesz przecież — odparła złośliwie, — jestem kobietą z kamienia „Wenus w futrze“, twoim ideałem, klęknij więc i módl się do mnie.

— Wanda! — błagałem — litości!

Zaśmiała się. Wcisnąłem twarz w jej poduszkę, a łzy, w których mieścił się mój ból okropny, lały się strumieniem.

Długą chwilę było zupełnie cicho, następnie Wanda podniosła się powoli.

— Nudzisz mnie, — zaczęła.

— Wanda!

— Jestem śpiąca, daj mi pokój...

— Litości, — błagałem znowu — nie odtrącaj mnie od siebie, nie znajdziesz żadnego mężczyzny, nie znajdziesz nikogo, ktoby cię tak kochał, jak ja.

— Daj mi spać! — obróciła się do mnie plecyma.

Zerwałem się, szarpnąłem za rewolwer, który wisiał obok jej łóżka, i przyłożyłem lufę do swej piersi.

— Zabiję się tu, w twej obecności — mruzczałem głucho.

— Czyń, co chcesz — odrzekła z zupełną obojętnością, ale pozwól mi tylko spać.

Następnie ziewnęła głośno. — Jestem bardzo śpiąca.

Przez moment stałem skamieniały. Potem zacząłem się śmiać i znowu głośno płakałem, wreszcie schowałem rewolwer i rzuciłem się przed nią na kolana.

— Wanda — chciej mnie tylko posłuchać, posłuchaj jeszcze małą chwilkę, — prosiłem.

— Chcę spać! nie słyszysz? — krzyknęła gniewnie, skoczyła z łóżka i kopnęła mnie nogą, — zapominasz, że jestem twą panią? — a kiedy nie poruszałem się z miejsca, chwyciła bat i uderzyła mnie.

Podniosłem się — trafiła mnie jeszcze — lecz tym razem w twarz.

— Człowiecze, niewolniku!

Z zaciśniętymi pięściami, złorzecząc niebu, opuściłem nagle jej sypialnię. Odrzuciła bat i wybuchła wesołym śmiechem.

* * *

Nareszcie zdecydowałem się wyrwać od tej kobiety bez serca, która za niewolnicze uwielbienie płaciła mi okrutnymi mękami, a za wszystko, co od niej wycierpiałem chciała mnie niewiernie zdradzić. Pakuję więc swoje drobne manatki do chustki i piszę do niej:

„Łaskawa Pani!

„Kochałem Panią, jak człowiek pozbawiony rozumu, oddałem się Jej tak, jak nigdy dotąd żaden mężczyzna kobiecie. Pani jednak nadużywałaś moich najświętszych uczuć, a uważałaś mnie zuchwale za jakąś marną zabawkę. Jak długo byłaś Pani okrutną i nielitościwą, mogłem Cię jeszcze kochać — teraz jednak zamierzasz być kobietą pospolitą, ordynarną. Nie jestem dłużej niewolnikiem, który pozwala Ci się Pani prześladować i smagać batem, Sama uczyniłaś mnie wolnym, a dziś opuszczam kobietę, dla której czuję tylko nienawiść i pogardę.

Seweryn“.

List ten oddaję murzynce, następnie uciekam jak mogę najszybciej. Bez tchu dobiegam do stacyi, w tem uczuвам w sercu gwałtowne ukłucie... zatrzymuję się... zaczynam... płakać.

O! to dziwne... chcę uciekać i nie mogę. Powracam... dokąd? — do niej — którą czczę i uwielbiam ciągle.

Znowu namyślam się. Nie mogę przecież wracać. Nie śmiem. Jakże jednak wyjadę z Florencyi? Przypominam sobie, że nie mam pieniędzy, jestem bez grosza. Pójdę więc pieszo, bo rzeczywiście jest lepiej żebrać, niż jeść chleb kurtyzany.

A przecież nie mogę się oddalić.

Ona ma moje słowo, moje słowo honoru. Muszę powrócić. Może mnie zwolni.

Uszedłszy szybko kilka kroków, stanąłem znowu.

Ona ma moje słowo honoru, moją przysięgę, że jestem jej niewolnikiem, jak ona długo zechce, jak długo ona sama nie obdarzy mnie wolnością; mogę się jednak zabić.

Idę parkiem nad rzeką Arno, jestem już całkiem na dole, gdzie żółtawa woda pluskając monotonicznie kąpie parę samotnych wierzb — tam siadam i zamykam mój rachunek istnienia — przypominam sobie całe moje minione życie i czuję jakie ono nędzne. — Nieco chwil miłych, nieskończenie więcej obojętności, między temi wiele, wiele bólu, cierpień, niepokoju, rozczarowań, zawiedzionych nadziei, zmartwień, trosk i smutków.

Pomyślałem o mojej matce, którą tak bardzo kochałem i widziałem złożoną okropną chorobą, wspomniałem o moim bracie, który żadny rozkoszy i szczęścia, umarł w kwiecie swej młodości, nim jeszcze jego usta mogły dotknąć czary życia.

Pomyślałem o mojej zmarłej niańce, o towarzyszach zabaw dziecięcych, o przyjaciółkach, którzy razem ze mną pracowali i uczyli się, o tych wszystkich, których przykryła zimna, martwa, obojętna ziemia — wszystko proch i w proch się obraca.

Zaśmiałem się głośno i posunąłem do wody — w tej chwili jednak zatrzymuję się silnie na gałęzi wierzy, wiszącej nad żółtymi falami — i widzę przed sobą kobietę, która uczyniła mnie tak bardzo nieszczęśliwym. Jej postać prześwieconą promieniami słońca unosi się nad zwierciadłem wody — wydaje mi się przeźroczystą, tylko głowa i kark otoczone czerwonymi płomieniami. Zwraca swe oblicze do mnie i uśmiecha się.

I znowu drzę ze wstydu i gorączki. Murzynka oddała mój list, i mogę oczekiwać wyroku śmierci z ust bezlitosnej okrutnej kobiety.

Lecz to ona powinna mnie zabić, sam nie odważę się na to, a przecież już dłużej żyć niechęć.

Kiedy błądzę około domu, ona stoi na galerii, oparta o balustradę; jej oblicze z zielonemi błyszczącemi oczyma oświecone pełnem światłem słonecznym.

— Ty żyjesz jeszcze? — pyta, nie poruszając się wcale. Stoję w milczeniu, ze spuszczoną na piersi głową.

— Oddaj mi mój rewolwer, — mówi dalej, — tobie i tak na nic się nie przyda. Nie masz nigdy odwagi do odebrania sobie życia.

— Nie mam — odparłem, trzęsąc się z zimna.

Zmierzyła mnie dumnym, szyderczem spojrzeniem.

— Zgubiłeś go zapewne w Arno? — Wzruszyła lekceważąco ramionami,

— Niech i tak będzie. Tylko dlaczego nie poszedłeś sobie?

Mruczałem coś, czego ani ona, ani ja sam rozumieć nie mogłem.

— O! ty nie masz pieniędzy, — zawołała, — tak! — i rzuciła mi z niewypowiedzianie pogardliwym ruchem swą kieskę.

Nie podniosłem jej.

Milczeliśmy oboje na dłuższą chwilę.

— Nie chcesz więc odejść?

— Nie mogę...

* * *

Wanda urządza sobie przejażdżki po parku, jest w teatrze, oczywiście bezemnie, przyjmuje gości. Murzynka jej służy. Nikt nie pyta się o mnie. Błądzę ustawicznie około ogrodu, jak zwierzę, które straciło swego pana.

Leżąc w cieniu krzewów, widzę parę wróbli, które walczą o ziarno nasienia.

W tem szeleści kobieca szata.

Zbliża się Wanda. Ubrana w ciemną jedwabną suknię, zapiętą skromnie aż po samą szyję. Obok niej idzie Grek. Prowadzą bardzo ożywioną rozmowę, lecz ja nie mogę zrozumieć ani słowa. Teraz on wywija swym batem w powietrzu i tupie nogą tak silnie, że aż żwir rozpryskuje się w oko. Wanda wzdryga się.

Czyżby się bała, żeby jej nie uderzył?
Zaszli więc aż tak daleko?

* * *

On ją opuścił. Wanda woła go, lecz on nie słyszy, bo słyszeć jej nie chce.

Wanda kiwa smutnie głową i siada na najbliższej kamiennej ławce. Siedzi długo, zatopiona zupełnie w swych myślach. Przyglądam się jej z pewną złośliwą radością, wreszcie zrywam się gwałtownie i staję w postawie szyderczej przed nią. Ona podnosi się, lecz drży na całym ciele.

— Przychodzę pani pogratulować szczęścia — mówię kłaniając się — widzę, łaskawa pani, że znalazłaś swego pana.

— Tak, dzięki Bogu! — woła — nie nowego niewolnika, których mam już dosyć: znalazłam pana, kobieta potrzebuje pana i modli się do niego.

— Wando, więc ty modlisz się do niego! — krzyknąłem — do tego ordynarnego człowieka?

— Kocham go tak, jak nie kochałam jeszcze nikogo.

— Wando! — zacisnąłem pięści, lecz znowu zaczęły mię dławić łzy, a namiętność odurzyła mnie aż do utraty zmysłów.

— Dobrze, więc wybieraj go, weź za swego męża, on powinien być twym panem, ja jednak, chcę pozostać twoim niewolnikiem, przez całe życie.

— Ty chcesz być moim niewolnikiem, nawet potem? — mówiła — to byłoby doskonałe, lecz sądzę, że on czegoś podobnego nie będzie cierpieł.

— On?

— Tak, on już jest zazdrosny o ciebie — zawołała — on o ciebie! domagał się odemnie, abym się natychmiast oddaliła, a kiedy mu powiedziałam, kim jesteś.

— Powiedziałaś mu?... — powtórzyłem struchlały.

— Wszystko — odparła — opowiedziałam mu całą naszą historię, o wszystkich twoich poświęceniach dla mnie, wszystko — lecz on — zamiast się śmiać — rozgniewał się i tupał nogą.

— Groził nawet, że cię uderzy?

Wanda spuściwszy oczy w dół, milczała.

— O tak — mówiłem z szyderczym wyrzutem — ty się go boisz! — rzuciłem się do jej nóg, i wzruszony wi-

łem się koło jej kolan — ja nie żądam niczego od ciebie, niczego, pragnę tylko być zawsze blisko ciebie, chcę być twym niewolnikiem — twym psem.

— Nudzisz mię — rzekła Wanda apatycznie.

Zerwałem się. Wszystko burzyło się we mnie.

— Teraz już nie jesteś okrutną lecz pospolitą! — powiedziałem, akcentując silnie każde słowo.

— Napisałeś o tem obszernie w liście, — odparła Wanda wzruszając dumnie ramionami, — mężczyzna dobrze myślący nie powtarza się nigdy.

— Czegoż ty się odemnie spodziewasz? — przerwałem — jak to nazywasz?

— Mogłabym cię wychłostać, — odparła pogardliwie — lecz tym razem wolę odpowiedzieć ci słowami, zamiast uderzeniami bata. Nie masz żadnego powodu, aby mnie oskarżać, bo czyż nie obchodziłam się zawsze z tobą uczciwie? Czyż mało razy przestrzegałam cię? Czyż nie kochałam cię serdecznie, nawet namiętnie i czyż ukrywałam przed tobą tajemnicę tę, że oddawać się mnie, i ponizić przedemną, to rzecz bardzo niebezpieczna, gdyż ja opanowuję wolę mężczyzny? Ty jednak chciałeś być moją zabawką, moim niewolnikiem! Znajdujesz bowiem największą rozkosz wtedy, gdy czujesz na swem ciele nogę lub bat kobiety okrutnej, zuchwałej. Czegoż więc chcesz teraz?

— We mnie drzemały złe skłonności, lecz ty pierwszy je zbudziłeś; jeżeli teraz sprawia mi przyjemność, gdy ciebie męcę i katuję, to jest to twoja wina. Ty bowiem tylko uczyniłeś mię taką, jaką dziś jestem, i popełniasz niedorzeczność, oskarżając mnie zupełnie niesłusznie.

— O, tak, zawiniłem — odrzekłem, ale czyż grzech swój mało odpokutowałem. Teraz skończ jednak tę straszłą zabawę.

— Tego też właśnie pragnę — odparła obrzucając mnie druzgocącym spojrzeniem.

— Wando! — zawołałem porywczo, — nie doprowadzaj mnie do ostateczności, wszak widzisz, że jestem znowu mężczyzną.

— Słomiany ogień — odparła — który świeci przez moment i jak szybko powstał, tak prędko gaśnie. Myślisz, że mnie nastraszyś, a wydajesz mi się tylko śmiesznym. Gdybyś był mężczyzną takim, za jakiego cię z początku

uważałam — poważnym, myślącym, energicznym, byłabym cię wiernie kochała i z pewnością pozostałabym twoją żoną. Kobieta pragnie mężczyzny, którego wyższość może podziwiać — takiego zaś jak ty — co znizas swój kark dlatego, by ona na nim postawiła stopę — uważa za pożądaną zabawkę, i odrzuca go od siebie z chwilą, gdy jej zaczyna być nudnym.

— Spróbuj tylko mnie odrzucić, — powiedziałem szyderczo — poznasz, że jest i zabawka bardzo niebezpieczna.

— Nie wyzywaj mnie, — zawołała, a w tej chwili oczy jej pałały dziwnym ogniem, a policzki zaczerwieniły się.

— Jeżeli ja cię nie mogę posiadać, — ciągnąłem przytłumionym głosem, — to nie śmie cię osiąść żaden inny mężczyzna.

— Z jakiej teatralnej sztuki jest to zdanie — sztywna, następnie ujęła mnie za piersi; w tej chwili była z gniewu zupełnie biała. — Nie wyzywaj mnie do walki — ciągnęła dalej — nie jestem okrutną, lecz sama nie wiem do czego jeszcze mogę się posunąć.

— Cóż możesz mi uczynić gorszego nad to, że uczynisz tamtego swoim kochankiem, swoim mężem? — odpowiedziałem, zapalając się coraz bardziej.

— Mogę cię zrobić jego niewolnikiem, — odparła szybko, — jesteś przecie w moich rękach. Nie mamże takiej ugody? Lecz dla ciebie będzie to rzeczywiście tylko rozkoszą, gdy każe cię związać i powiem do niego: „Rób pan teraz z nim wszystko, co sam chcesz“.

— Kobieto, ty oszalałaś! — krzyknąłem.

— Jestem bardzo rozsądną — powiedziała cicho, — ostrzegam cię poraz ostatni. Nie opieraj mi się teraz, gdy zaszłam już tak daleko, bo łatwo mogę się posunąć jeszcze dalej. Uczuwam do ciebie pewien rodzaj nienawiści, i gdybym cię widziała wijącego się z bólu pod śmiertelnymi razami jego bata, byłoby to dla mnie prawdziwą rozkoszą, lecz jeszcze dotąd hamuję sama siebie, jeszcze...

Będąc znacznie silniejszym, chwyciłem ją w przegubie ręki i szarpnąłem ją do ziemi tak, że uklękła przedemną na kolana.

— Sewerynie! — zawołała, a na jej obliczu malowały się wściekłość i przerażenie.

— Zabiję cię, jeżeli zostaniesz jego żoną — groziłem, a z mojej piersi wydobywał się głos ochrypliwy i głuchy.

— Ty jesteś moją, nie opuścę cię, bo kocham ponadto, — przytem objąłem ją, przycisnąłem do siebie, a prawą ręką chwyciłem mimowolnie rewolwer umieszczony za pasem.

Wanda spojrzała na mnie spokojnie.

— Tak, to podobasz mi się — mówiła poważnie. — Teraz jesteś mężczyzną i w tej chwili czuję, że cię jeszcze kocham.

— Wanda! — nie posiadałem się z rozkoszy, łzy zasłaniały mi oczy, pochyliłem się nad nią i okrywałem jej pełne wdzięku oblicze gorącymi pocałunkami. A ona wybuchła nagle głośnym wesołym śmiechem i wołała:

— Masz już dosyć swego ideału, jesteś zadowolony ze mnie?

— Co? — jakałem — czyż to znowu twój żart?

— O nie, — mówiła dalej pogodnie — to prawda, że kochałam cię, tylko cię, jednego, a ty... ty mały, poczciwy głuptasku nie zauważyłeś, że to wszystko było igraszką i zabawą — o jakąż przykrością było dla mnie bić cię batem wtedy właśnie, kiedy najchętniej ujęłabym twą głowę i wycalowała każde miejsce na niej. Lecz teraz dosyć już tego, nieprawdaż? Wykonałem swą rolę lepiej, teraz więc będziesz zadowolony z posiadania twej małej, dobrej, rozsądnej i cokolwiek pięknej kobietki — prawda? — Chciejmy żyć prawdziwie rozsądnie.

— Ty będziesz moją! — zawołałem w błogim rozmarzeniu.

— O tak — twoją żoną, kochany drogi mężu — szeptała Wanda, całując przytem moje ręce.

Przycisnąłem ją do swej piersi.

— Tak, tak, od tej chwili nie będziesz już więcej Grzegorzem, moim niewolnikiem — teraz jesteś znowu moim kochanym Sewerynem, moim mężem.

— A on? nie kochasz go? — zapytałem wzruszony.

— Jakże możesz nawet przypuszczać, że kocham takiego ordynarnego człowieka — ale ty byłeś zupełnie zaślepiony — ja jednak tęskniłam za tobą.

— Przez cię bylibym sobie prawie życie odebrał.

— Naprawdę? — zawołała — Ach! drzę na samo wspomnienie o tem, że byłeś już w Arno.

— Uratowałaś mię — odparłem czule — ty bowiem unosiłaś się z uśmiechem nad falami i ten uśmiech zawrócił mnie znowu do życia.

* * *

Doznaję osobliwego uczucia, gdy trzymam ją teraz w swych ramionach, a ona spoczywa cicho na mojej piersi i pozwalając mi całować swe cudne oblicze, uśmiecha się; wydaje mi się jakobym się zbudził z gorączkowej fantazyi, lub był rozbitkiem, który walczył długi czas z okropnymi bałwanami, chcącymi go połknąć, i wreszcie wy dostał się szczęśliwie na ląd.

* * *

— Nienawidzę tej Florencyi, gdzie byłeś tak nieszczęśliwy — mówiła do mnie, gdy jej przyszedłem powiedzieć „dobranoc“.

— Chcę odjechać jak najprędzej, jutro już... Bądź tak dobry i napisz kilka listów dla mnie, a ja w tym czasie pojedę do miasta i złożę znajomym pożegnalne wizyty. Zgadzasz się na to?

— Oczywiście, moja kochana, dobra, piękna pani.

* * *

Zapukała rano do moich drzwi i zapytała czy dobrze spałem. Jest nadzwyczajnie uprzejmą. Nigdy nie przypuszczałbym, że może być tak dobrą i łagodną.

* * *

Uplęły już cztery godziny, od wyjścia Wandy. Dawno już skończyłem swoje listy. Teraz siedzę na galeryi i patrząc na ulicę czekam, czy w oddali nie pojawia się jej pojazd. Tęskno mi trochę bez niej, a przecież Bóg wie, że nie mam żadnego powodu do wątpliwości lub obaw. Leżą one jednak na dnie mego serca i widocznie nigdy się ich już nie pozbędę. Może powodują je cierpienia minionych dni, które rzucają jeszcze cień na moją duszę.

* * *

Wreszcie przychodzi ona, promieniejąca szczęściem i zadowoleniem.

— Jestże wszystko podług twego życzenia? — zapytałem, całując czule jej rękę.

— Tak, moje serce, — odpowiada — dziś w nocy wyjeżdżamy, pomóż mi się tylko spakować.

* * *

Przed wieczorem prosi mię, abym pojechał sam na pocztę i wysłał jej listy. Biorę więc jej pojazd i wracam za godzinę.

— Pani pytała się o pana — mówi ze śmiechem murzynka, gdy wstępuję na szerokie marmurowe schody.

— Był kto?

— Nikt, — odpowiada i siada jak czarny kot poniżej schodów.

Przechodzę powoli przez salę i staję teraz przed drzwiami jej sypialni.

Dlaczego bije mi serce? Jestem przecież tak bardzo szczęśliwy.

Otwierając cicho, odsuwam portyere. Wanda leży na otomanie, lecz nie zauważa mojej obecności. Jakże piękną jest w sukni z srebrno-szarego jedwabiu, która uwydatnia zdradziecko jej wspaniałe linie, odsłania jej przedziwne piersi i cudne ramiona. Jej rozpuszczone włosy, przeplecione są czarną wstążką aksamitną. Na kominku płonie potężny ogień, wisząca lampa rzuca czerwone światło, cały pokój tonie we krwi.

— Wando! — odzywam się wreszcie.

— Sewerynie! — odzywa się radośnie, — oczekiwałam cię niecierpliwie — zerwała się i objęła mnie w ramiona. Następnie usiadła znowu na poduszkach i chciała mię do siebie przyciągnąć, zsunąłem się jednak łagodnie do jej nóg i położyłem głowę na jej łonie.

— Czy wiesz, że dziś jestem szczególnie zakochaną w tobie? — szepce i odgarnawszy mi z czoła włosy, całuje moje oczy.

— O jak piękne są twoje oczy! Podobały mi się zawsze najbardziej, lecz dziś upajają mnie w zupełności.

Wyciągnęła pełne wdzięku ramiona i mrugała do mnie czerwonymi rzęsami.

— A ty — ty jesteś taki zimny, postępujesz ze mną jak z kawałkiem drewna. Ale czekaj, chcę żebyś i ty jeszcze był zakochany! — Mówiąc to zawisła znowu czule na moich ustach.

— Nie podobam ci się już, muszę znowu być dla ciebie okrutną, dziś jestem dla ciebie zanadto dobra; wiesz co głuptasku, będę cię trochę bić batem...

— Ależ dziecko!

— Ja tak chcę.

— Wando!

— Zbliź się i daj związać — mówiła dalej skacząc swawolnie po pokoju — chcę cię widzieć prawdziwie zakochanym, rozumiesz? Oto są sznury. Czy będę mogła to uczynić?

Zaczęła mi krępować nogi, potem związała silnie na plecach moje ręce, wreszcie ściągnęła mi ramiona jak jakiemu zbrodniarzowi.

— Tak — rzekła wesoło, — czy możesz się jeszcze poruszyć?

— Nie.

— Dobrze.

Teraz zrobiła z silnego sznura pętlicę, zarzuciła mi ją na głowę, zesunęła aż na biodra, a następnie ściągnęła ją silnie i przywiązała mię do filara.

W tej chwili przejęły mnie szczególne dreszcze.

— Doznaję uczucia, jak gdybym miał być stracony — rzekłem z cicha.

— Powinieneś być dziś tylko porządnie obity! — zawołała Wanda.

— Ubierz się jednak w futerko — powiedziałem — proszę cię o to.

— Przyjemności tej nie odmówię ci — odpowiedziała, poczem przyniosła swoją kacabajkę, włożyła ją na siebie z uśmiechem, następnie ze złożonemi na piersiach rękami stanęła przedemną, i przypatrywała mi się półprzymkniętymi oczyma.

— Czy znasz opowieść o wole Dionysa? — zapytała.

— Przypominam sobie bardzo niejasno. Cóż to za historia? —

— Pewien dworzanin, wymyślił dla tyrana syrakusańskiego nowe narzędzie męki, a mianowicie żelaznego

wołu do którego zamykać można było skazanego na śmierć i wsadzać w wielki ogień.

Gdy tylko żelazny wół zaczął się żarzyć, a męczony skazaniec krzyczał, jego jęk miał rozbrzmiewać tak, jak ryk wołu.

Dionys uśmiechnął się łaskawie i powiedział, aby dla wypróbowania dzieła, zamknąć w żelaznym wole naprzód samego wynalazcę.

— Historia bardzo pouczająca.

— Ty byłeś tym, który mi pierwszy wszczepił samolubstwo, dumę i okrucieństwo, ty więc powinieneś być pierwszą tego ofiarą. Rzeczywiście, znajduję w tem wielką przyjemność, kiedy mogę posiadać w swej mocy człowieka myślącego i czującego tak samo jak ja, kiedy mogę męczyć i poniżać mężczyznę, który jest silniejszy odemnie duchem i ciałem, a już szczególną rozkosz uczuwam, gdy dręczę mężczyznę, który mnie kocha.

— Czy kochasz mię jeszcze?

— Aż do szaleństwa! — zawołałem.

— Tem lepiej — odparła, — o tyle więcej będziesz miał rozkoszy z tego, co teraz chcę z tobą począć.

— Cóż uczynisz? — zapytałem, — nie rozumiem cię wcale, twoje oczy błyszczą rzeczywiście okrucieństwem, a jesteś szczególnie piękną, prawdziwą „Wenus w futrze“.

Wanda nie odpowiadając mi, wsparła ramiona na moim karku i pocałowała mię. W tej chwili opanowała mnie znowu fanatyczna namiętność.

— No, a gdzież jest bat? — zapytałem.

Rozśmiała się i odstąpiła dwa kroki.

— Chcesz więc koniecznie dostać batem? — zawołała, odrzucając przy tem dumnie w tył głowę.

— Tak.

Naraz oblicze Wandy zmieniło się zupełnie. Wydało mi się gniewem oszpecone i przez moment było dla mnie prawie wstrętne.

— A więc bij go pan! — zawołała głośno.

W tej samej chwili, z za firanki spływającej nad jej łóżkiem, wysunęła się czarna, kędzierzawa głowa pięknego Greka. Struchlałem. Sytuacja była okropnie komiczna. Byłbym się sam roześmiał głośno, gdyby właśnie to położenie, w którym się znalazłem nie było dla mnie równocześnie tak rozpaczliwie smutne, tak strasznie hańbiące.

To przewyższało nawet moją fantazję. Poczulem mróz w całym ciele, gdy mój rywal wystąpił w swych butach do jazdy konnej, wąskich białych spodniach i obcisłym surducie, a krew zastygła w mych żyłach, kiedy spojrzałem na jego atletyczne członki.

— Pani jesteś rzeczywiście okrutną — rzekł zwracając do Wandy.

— Tylko żądną rozkoszy — odparła z dziką radością. — Rozkoszą może być samo istnienie. Kto doznaje rozkoszy, temu ciężko rozstawać się z życiem, kto cierpi, ten wita śmierć jako przyjaciela; kto jednak chce się rozkoszować, musi brać życie wesoło, a podług starożytności nie śmie się niczego obawiać, ani cieszyć szczęściem innych, jemu nie wolno mieć litości, on musi innych przywiązać do swego wozu, zaprządź do swego pługa jak zwierzęta. Ludzie, mogący się rozkoszować tak jak on tem, że się ich czyni niewolnikami, czują przyjemność, że usługują innym. Nie pytają, oni czy im się przy tem dobrze powodzi, czy też giną pod ciężarem. Muszę ciągle pamiętać, że: gdyby mię oni mieli w swych rękach tak jak ja — ich, to uczyniliby mi to samo i musiałabym płacić ich rozkosze swoim potem, własną krwią, a nawet duszą. Taki był świat starożytności. Rozkosz i okrucieństwo, wolność i niewolnictwo przechodziły zawsze z rąk do rąk. Ludzie, chcący żyć na wzór olimpijskich bogów, musieli mieć niewolników, których rzucali do stawu na pożarcie rybom i gladyatorów, którzyby mogli walczyć w czasie ich uczt wspaniałych, i nic sobie z tego nie robili, gdy przy takiej walce prysnęło na nich nieco krwi.

Jej słowa odnosiły się zupełnie do mnie.

— Rozwiąż mię! — zawołałem oburzony.

— Czyż nie jesteś moim niewolnikiem, moją własnością? — odparła Wanda, — czy mam ci pokazać ugodę?

— Rozwiąż mię — groziłem, dalej targając powrozy.

— Czy on może je rozerwać? — pytała. — Groził mi zabiciem...

— Bądź pani spokojną — mówił Grek, próbując moich więzów.

— Zawołałam o pomoc — zacząłem znowu.

— Nie usłyszysz cię nikt — odparła Wanda, — i nikt mi nie zabroni, deptać znowu twoje najświętsze uczucia i uczynić z ciebie bezpiecznie zabawkę, — ciągnęła dalej,

powtarzając z szatańskim szyderstwem zdania z mojego listu.

— Czy uznajesz mnie w tej chwili za okrutną i nielitościwą, czy też zaczynam być ordynarną? I cóż? Kochasz mnie jeszcze, czy nienawidzisz i zupełnie mną pogardzasz? Oto jest bat — podała go Grekowi, który zbliżył się do mnie szybko.

— Ani się pan waż! — zawołałem drżąc z oburzenia, — od pana nie ścierpię niczego!

— Zdaje się tak panu zapewne dlatego, ponieważ nie mam na sobie futra, — odparł Grek, uśmiechając się złośliwie i wziął z łóżka swe krótkie sobolowe futerko.

— Jesteś pan wyborny! — zawołała Wanda; pocałowała go i pomogła mu się ubrać w futerko.

— Czy rzeczywiście wolno mi go bić? — zapytał.

— Proszę z nim zrobić wszystko, co się tylko panu podoba — odpowiedziała.

— Bestye! — krzyknąłem oburzony.

Grek wlepił we mnie swe zimne, tygrysie oczy i próbował bata, a kiedy wymachiwał nim w powietrzu, nabrzmiały w nim muszkuły tak, że wydawał mi się olbrzymem. Ja byłem związany jak Marsyas i musiałem patrzeć, jak Apollo zabiera się obedrzeć mię ze skóry.

Wzrok mój błędził w koło po całym pokoju, zatrzymał się wreszcie na dywanie, gdzie było uwidocznione jak siedział Samson u nóg Dalili, oslepiiony przez Filistynów.

W tej chwili wydawał mi się ten obraz symbolem wiecznej miłości mężczyzny do kobiety. — Każdy z nas jest w końcu Samsonem — myślałem — i może doznawać od kobiety, którą kocha rozkoszy lub cierpień, zarówno wtedy gdy nosi ona sukienny żakiecik, czy też futro sobolowe.

— Teraz proszę się przypatrywać tresurze — zawołał Grek, szczerząc zęby, a oblicze jego przybrało wyraz krwiożerczy.

I począł mię bić tak strasznie, tak nielitościwie, że pod każdym uderzeniem drżałem z bólu na całym ciele, a łzy płynęły mi po policzkach. Wanda leżała na otomanie w swoim futerku i podparłszy się na ramionach, przypatrywała z okrutną ciekawością, śmiejąc się przytem wesoło.

Uczucie, że jestem męczony przez ubóstwianą i szczęśliwego rywala, napełniało mię nieopisanym wstydem i rozpaczą.

Najhaniebniejszym było to, że ja w swem opłakanem położeniu, pod batem Apolla i przy okrutnym śmiechu mojej Wenus, odnajdywałem z początku jakiś fantastyczny, nadmysłowy wdzięk, lecz Apollo wypędził ze mnie poezję swym batem. W końcu w bezwładnej wściekłości ścisnąłem zęby i przeklinałem siebie, lubieżną fantazyę, kobietę i miłość!...

Teraz widziałem z przerażającą jasnością, że ślepa namiętność i lubieżność prowadzi mężczyznę schwyconego w sieć kobiety przewrotnej do nędzy, niewolnictwa a nawet do śmierci.

Zdawało mi się, że zostałem obudzony ze snu.

Już mi krew tryskała pod jego batem, już skurczyłem się jak ślimak, którego stratowano, on jednak ciągle bił bez litości, a ona śmiała się okrutnie. Wreszcie zamknęła spakowane kufry, zarzuciła podróżny płaszcz, i śmiała się jeszcze wtedy, gdy wsparta na jego ramieniu przestępowała schody i siadała do powozu.

Przez chwilę było cicho.

Podśluchiwałem zdyszany.

Teraz trzasnął ktoś z bata, konie ruszyły, jakiś czas słychać było toczenie wozu i nastąpiła zupełna cisza.

* * *

Przez moment myślałem nad wykonaniem zemsty, chciałem go zabić. Byłem jednak związany nieszczęsnym kontraktem, nie pozostawało więc nic innego, jak tylko zacisnąć zęby i, dotrzymać słowa.

* * *

Pierwszem uczuciem po okrutnej katastrofie mojego życia, była tęsknota do trudów, niebezpieczeństw i doświadczeń. Chciałem zostać żołnierzem i udać się do Azyi lub Algieru, lecz mój stary ojciec, który zachorował, zawzwał mię do siebie.

Powróciłem więc spokojnie do ojczyzny i przez dwa lata dzieliłem troski mego ojca, pomagałem mu prowadzić

gospodarstwo i uczyłem się tego, czego dotąd nie umiałem: pracować i wypełniać swe obowiązki. Niedługo umarł ojciec, a ja zostałem dziedzicem. Żyję jednak podług jego życzenia rozsądnie, jak gdyby on sam czuwał nademną i jego mądre oczy patrzyły na mój każdy krok.

Pewnego dnia nadeszła paczka i list. Poznałem pismo Wandy.

Nadzwyczaj wzruszony otworzyłem i czytałem:

„Mój Panie!

Teraz, kiedy od owej nocy we Florencji upłynęło już trzy lata, mogę się Panu przyznać, że go kochałam bardzo. Pan jednak sam przysłuszyłeś moje uczucia swoim fantastycznym odaniem się i swoją ślepą namiętnością. W chwili, gdy tylko Pan został moim niewolnikiem odczułam, że nie możesz zostać moim mężem, pochlebiali mi jednak to, że urzeczywistniłam Pański ideał i sądziłam, że zabawię się sama doskonale, a Pana uzdrowię.

Znalazłam mężczyznę silnego, jakiego pragnęłam i z którym byłam tak szczęśliwą jak tylko można najbardziej na tej komicznej kuli ziemskiej.

Lecz szczęście moje, jak wogóle szczęście ludzkie trwało krótko. Przed rokiem bowiem został zabity w pojedynku, a ja od tego czasu żyję w Paryżu jako Aspazyja.

A Pan? I w Pańskim życiu nie brak zapewne blasków słonecznych... jeżeli tylko utraciłeś Pan fantazyję poddawania się pod cudze panowanie i jeżeli wystąpiły silniej Pańskie przymioty, które z początku tak bardzo mię pociągały: jak jasność myśli, dobroć serca, a przede wszystkim — nadziejska odwaga.

Mam nadzieję, że pod wpływem mego bata zostałeś pan uzdrowiony, gdyż kuracya była okrutna i radykalna. Na pamiątkę owych chwil i kobiety, która Pana kochała namiętnie, posyłam mu obraz biednego malarza.

Wenus w futrze“.

Musiałem się uśmiechnąć, i kiedy zatopiłem się w myślach, stanęła nagle przedemną kobieta w jedwabnym paltociku obłożonym gronostajami i z batem w rękę. I zaśmiałem się znowu z kobiety, którą tak szalenie kochałem, z futerka, którem się raz tak bardzo zachwycałem, z bata, i uśmiechnąłem się ze swych cierpień i powiedziałem sobie: kuracya była okrutna, ale radykalna, a co najważniejsza: jestem zupełnie uzdrowiony...

* * *

— No, a jakaż nauka z tej historii? — zapytałem Seweryna, kładąc na stół manuskrypt.

— Że byłem osłem — zawołał nie zwracając się do mnie, jakby chciał ukryć zażenowanie. — Gdybym ja był ją zbił batem!

— Ten kuracyjny środek — odparłem, pomaga twoim wieśniaczkom.

— O! one są już do tego przyzwyczajone — odpowiedział żywo, — ale pomyśl tylko jak bardzo byłaby skuteczna taka kuracya dla naszych pięknych, nerwowych, histerycznych pań...

— A więc nauka?

— Że kobieta, jaką stworzyła natura i jaką wychowywał mężczyzna dzisiejszy, jest jego wrogiem i może być tylko jego niewolnicą lub despotką, nigdy jednak jego towarzyszką. Tą mogłaby zostać wtedy, gdyby dorównywała mężczyźnie swem wykształceniem i pracą.

Obecnie mamy do wyboru: albo być młotem, albo kowadłem, lecz ja byłem osłem, kiedy kobieta mogła uczynić mię swym niewolnikiem.

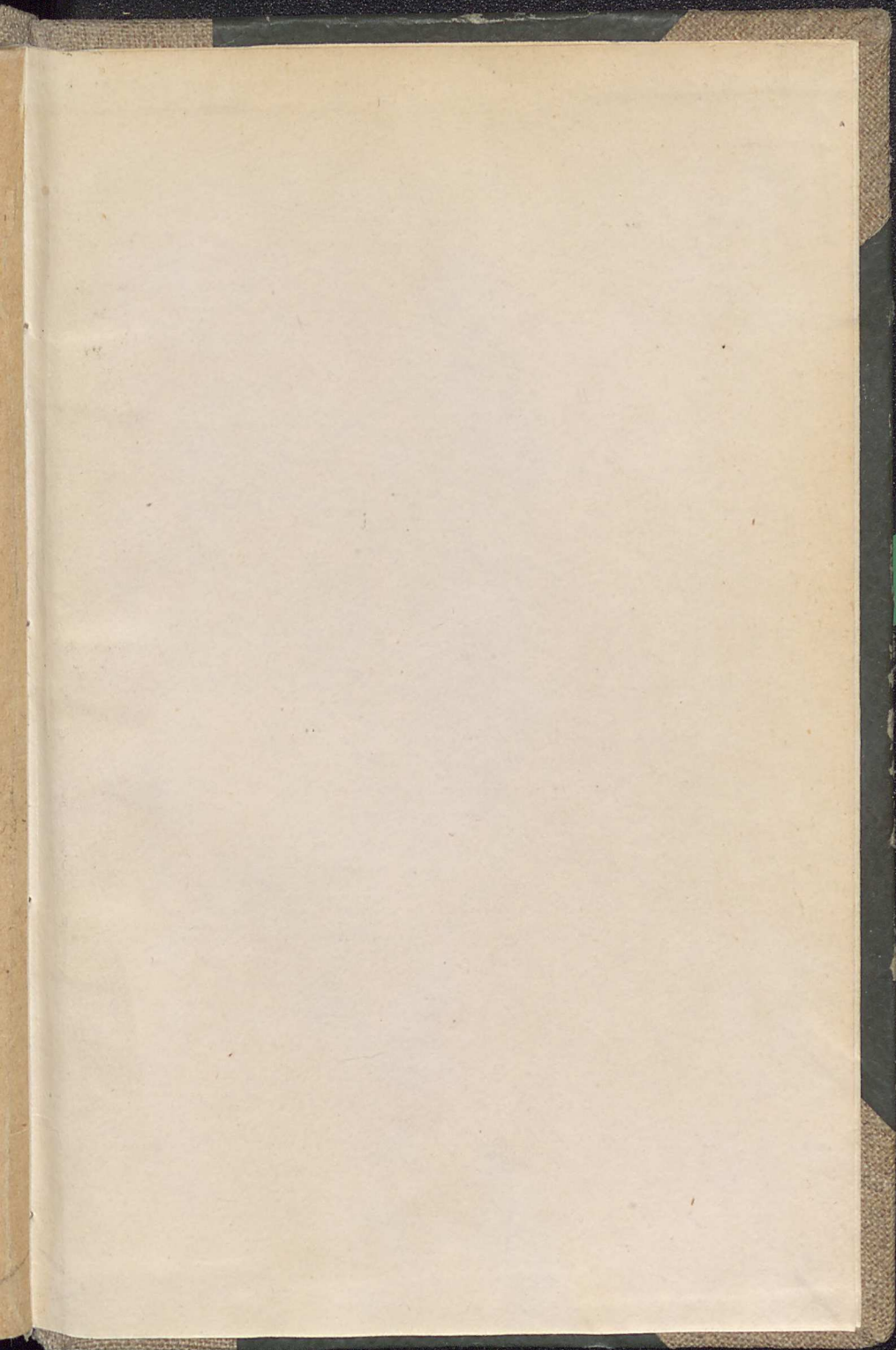
Razy, które od niej przecierpiałem wyszły mi, jak sam widzisz, na dobre, różowe nadzmysłowe mgły rozwiały się, dziś nie może mię nikt przekonać, że święta małpa z Benares¹⁾ lub kogut Platona²⁾ jest obrazem Boga.

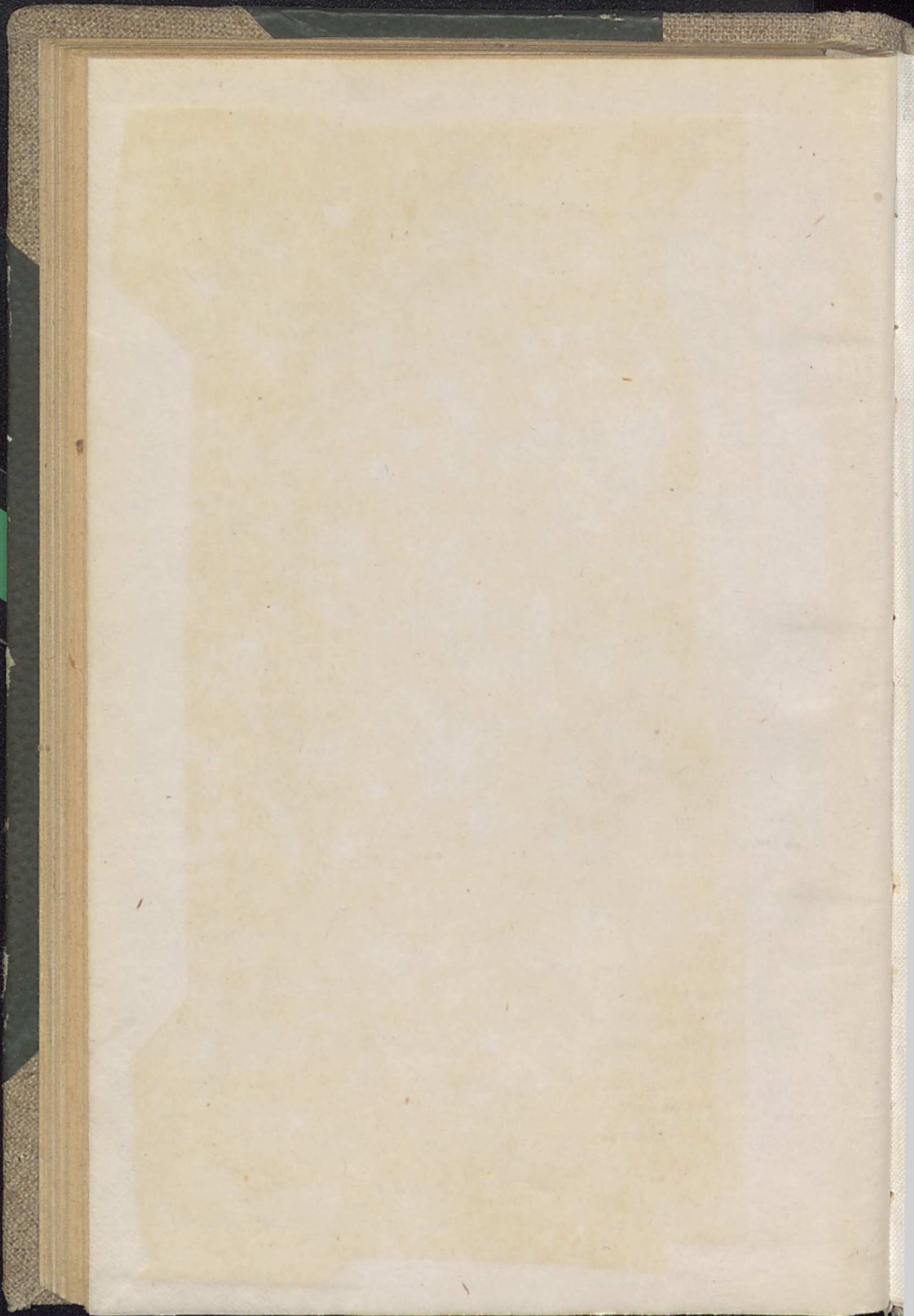
K O N I E C .



¹⁾ Tak nazywa kobiety Schopenhauer.

²⁾ Diogenes rzucił do szkoły Platona oskubanego koguta i rzekł: „Oto macie platonowego człowieka!”.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018184066



870275
